



POZNAŃSKA  
SPÓŁDZIELNIA  
MIESZKANIOWA

# PROTOKÓŁ

## kulturowy



Nr 77 Rok XXIII ISSN 1506-1833 Poznań 2021 Kwartalnik

Vilmos Gál

## Nasz Polak

*Rozmowa z Konradem Sutarskim, polskim poetą, tłumaczem, publicystą i historykiem.*

**Konrad Sutarski kończy w bieżącym roku 84 lata. Nie wygląda nawet na siedemdziesiąt, kiedy podchodzi do mnie wijącą się na Górze Zamkowej ulicą, gdzie mieszka. Wysoki, szczupły, o białych włosach, ale koloru oczu, niestety, nie przypominam sobie. Osiem lat znam Konrada i obraz, który we mnie żyje jest niezmienny: uprzejmy, dobrze ubrany mężczyzna o spojrzeniu spokojnym, jak gdyby promieniował mądrą pogodą. Jak gdyby uśmiechał się zawsze.**

- VG. W 1965 roku przybyłeś z żoną Węgierką na Węgry. Co zabrałeś ze sobą na drogę, kiedy ruszałeś, by zaczynać nowe życie?

- KS. Przybyłem na Węgry ze sporym bagażem wiedzy o wydarzeniach mało znanych na Węgrzech: o dziecięcych przeżyciach z czasów wojny – takiej, jakiej w tym kraju nie było, przywołem pamięć katyńskich okrucieństw, stłumionego Powstania Poznańskiego, które jednak zainicjowało polski październik i nadzieję owych czasów, wspomnienia solidarności z Węgrami i smak wolności, którymi przepojona była polska kultura lat po roku 1956.

- VG. Porozmawiajmy najpierw o twoich doświadczeniach z dzieciństwa.

- KS. We wrześniu 1939 roku ojciec został zmobilizowany, poszedł walczyć z Niemcami, ja z matką zostałem w Poznaniu. Niemcy hitlerowskie po zajęciu kraju włączyły Poznań, jak i cały zachód Polski bezpośrednio do Rzeszy, zaczęła się deportacja setek tysięcy Polaków do przeznaczonych dla nich Generalnej Guberni. Pewnej grudniowej nocy usłyszeliśmy gwałtowne bębnienie w drzwi. Była to niemiecka policja. Dostaliśmy pół godziny na spakowanie się. Można było wziąć tyle, ile człowiek udźwignie. Ja, pięciolatek, wziąłem piłkę i ulubionego niedźwiadka, natomiast matka cztery ciężkie walizy, po dwie na zmianę. Trzy noce spaliśmy na słomie na dworcu w Poznaniu, potem załadowano nas do pociągu i wieziono dwa następne dni bez możliwości wysiadania choćby po wodę. Wyszadzano wszystkich w Jarosławiu, na granicy niemiecko-radzieckiej. Każdy mógł iść, dokąd go oczy poniosą. Znaleźliśmy się we wsi Widzów pod Częstochową, gdzie siostra matki była nauczycielką, potem w sąsiedniej wsi Jacków spędziliśmy całą wojnę, ponad pięć lat. Wieś poznałem wtedy, jak własną kieszeń, zapach ziemi wyłaniającej się spod zimowego śniegu, jakże on odmienny od miejskiego.

Może dlatego, po powrocie do spalonego, zniszczonego Poznania – choć nie do przedwojennego mieszkania, trzy inne rodziny mieszkały z nami – już na Politechnice wybrałem Mechanizację Rolnictwa.

- VG. A teraz o Katyniu.

- KS. Katyń towarzyszył mi od dzieciństwa. Ojciec mój, służył jako oficer rezerwy w kawalerii lekkiej, wziął udział w kampanii wrześniowej na początku II wojny światowej. Po wkroczeniu wojsk radzieckich próbował w mundurze z oddziałem przedrzeć się do granicy węgierskiej, dostał się jednak w potrzask. Z jednej strony byli Niemcy, z drugiej wojsko sowieckie. Dostał się do niewoli radzieckiej. Był jednym z owych dwudziestu dwóch tysięcy oficerów polskich, ofiar radzieckiego ludobójstwa znanego jako „sprawa katyńska”, jakkolwiek zgładzony został w Charkowie. Przez cały czas wojny i również potem czekaliśmy z matką, nie wiedzieliśmy że ojciec został zamordowany. Byliśmy typową polską rodziną, cały majątek zabrali nam hitlerowscy Niemcy, a męża i ojca zabili radzieccy komuniści. W początkach 1940 roku jeszcze otrzymaliśmy list od niego, z niewoli, ze Starobielska na Ukrainie, później jednak, wiosną, listy przestały przychodzić. Jeden z moich pierwszych wierszy z 1956 roku o Starobielsku, pt. „Wracacie?” poświęcony był właśnie ojcu.



- VG. Jak mówiłeś mi, ten temat absorbuje Cię do dnia dzisiejszego. Czy Katyń, poza owym wierszem, pojawiał się w Twoich pracach pisarskich?

- KS. Tego nie da się wymazać z pamięci. Ta tragedia będzie ciągnęła się za mną do końca życia. Potem zaś pamięć o niej będzie zapewne dźwigać mój syn i wnukowie. W 1988 roku wiersz ten, razem z moim drugim katyńskim wierszem, w którym napisałem o śmierci ojca już jako o pewniku, ukazał się w „Życiu Literackim” w Krakowie,

prawdopodobnie jako pierwsze w Polsce oficjalne teksty na ten temat. W 1990 roku przywiozłem z Krakowa wystawę fotograficzną, mówiącą o katyńskim okrucieństwie, pokazaliśmy ją w Budapeszteńskim Muzeum Historycznym akurat wtedy, kiedy rosyjska agencja TASS podała wiadomość, że zbrodni dokonali nie Niemcy (jak głosili to dotychczas bolszewicy), a NKWD. Potem, w latach dziewięćdziesiątych pracowałem w satelitarnej telewizji „Duna”, tam w pierwszym rządzie zajmowałem się tematyką polską. Wtedy otrzymałem możliwość wyreżyserowania średniometrażowego filmu dokumentalnego o masowym mordzie katyńskim. Film ten (37-minutowy) powstał w 1993 roku (13 lat przed katyńskim filmem Wajdy) pt. „Nieludzka ziemia”. W 2010 roku po katastrofie smoleńskiej napisałem dwujęzyczną książkę (po polsku i w przekładzie na język węgierski) „Mój Katyń”, której ciąg dalszy znalazł się w następnym tomie – tylko węgierskojęzycznym „Közös fényeink” (Wspólne blaski), w którym Smoleńsk widzę już nie jako możliwość zbliżenia Polski oraz Rosji, a jako kwestię, która ponownie poróżniła dwa te kraje, a także i polskie społeczeństwo, w której odeszliśmy od prawdy na rzecz nieetycznej polityki (raporty końcowe – i rosyjski i polski – pełne były błędów i celowych przeinaczeń, na które zgodził się ówczesny rząd polski).

- VG. Wspomniałeś jeszcze ważne wydarzenia z okresu polskiej młodości.

- KS. Urodziłem się w Poznaniu, do trzydziestego roku życia tam mieszkałem – z wyjątkiem okresu wojny, kiedy Niemcy wysiedlili matkę i mnie, wojnę spędziliśmy we wsi pod Częstochową. W Poznaniu ukończyłem Politechnikę, Wydział Mechanizacji Rolnictwa. W czerwcu 1956 roku ja też – jako student – byłem w tłumie podczas powstania. Co prawda nie walczyłem, nie strzelałem, jednak Powstanie było nadzwyczajnym przeżyciem. Najbardziej charakterystycznym momentem stał się obraz wysokościorca z narożnika ulic Dąbrowskiego i Kochanowskiego, kiedy zrzucano stamtąd, z dachu urządzenie zagłuszające radio „Wolna Europa”. Był to pierwszy powiew wolności.

- VG. A jaki był Twój stosunek do Powstania Węgierskiego? Jak przypominasz sobie owe dni?

- KS. Kiedy dowiedzieliśmy się, że walki zbrojne wybuchły w Budapeszcie, wszyscy byliśmy zaskoczeni, jednocześnie rozentuzjazzowani i solidarni. Pisaliśmy i drukowano nam wiersze prowęgierskie. Zaczęła się akcja krwiodawcza dla Węgrów, to było masowe, jeden człowiek dopingował drugiego, rzecz została świetnie zorganizowana, chyba przy pomocy Czerwonego Krzyża. Była to akcja ogólnopolska, również i w Poznaniu, ja też oddałem krew. Teraz już wiemy, że pierwsze transporty krwi i plazmy odbyły się samolotami wojskowymi, a więc za zezwoleniem najwyższych władz państwowych i partyjnych. gdy Gomułka stał duchowo jeszcze po stronie Imrego Nagya. Kiedy pracowałem dla telewizji „Duna” zrobiłem film i o tym, o polskiej pomocy Węgrom, pierwszej i największej w okresie, póki nie została oficjalnie zatrzymana.

- VG. W bagażu Twoim przywiezionym na Węgry znajdowała się również pamięć wolności, która opanowała polską kulturę. Jak mógł powstać ten oddech wolności w kraju socjalistycznym?

- KS. W Polsce w przeciwieństwie do politycznego odwrotu, spowodowanego zdławieniem

Powstania Węgierskiego, życie kulturalne rozwinęło się z taką siłą, że komuniści nie byli w stanie temu przeciwdziałać, zamknięto tylko kilka pism, warszawskie „Po prostu”, w Poznaniu nasze „Wyboje”, jednak rozpoczętej rewolucji duchowej władza nie mogła zatrzymać. W filmie czy w teatrach, w literaturze i sztukach plastycznych zaistniał tak silny ruch odnowy, szczególnie ze strony młodego pokolenia, że tego nie można było już zdławić, Kulturę wzięto w swoje ręce „pokolenie '56”. Polska stała się oknem na cały świat kultury Zachodu, a do tego dokładała także swoje widzenie nowości.

- VG. Czy poeta został na skutek owego poczucia wolności?

- KS. Na pewno. Moje wiersze mogły ukazać się dopiero w 1956 roku, wtedy też utworzyliśmy w Poznaniu – jeszcze przed październikiem – grupę literacką „Wierzbak”. Sześciu nas było – między innymi Marian Grześczak i Józef Ratajczak (potem ośmiu). W roku następnym powołał się do życia w Poznaniu Ogólnokrajowe Festiwale Poetyckie. Poznań dzięki temu w każdym roku, w listopadzie, stawał się poetycką stolicą kraju. Owe festiwale organizowaliśmy do 1961 roku. Dzięki temu staliśmy się grupą znaną w całym kraju, konkurowaliśmy z warszawską „Współczesnością”, przyjaźniliśmy się z krakowską „Muszyną” – Tadeusza Nowaka, Tadeusza Śliwiaka i Jerzego Harasymowicza, byliśmy zapraszani do innych miast. Byliśmy i my w pierwszym szeregu „Pokolenia '56”.

- VG. Jak związałeś się z Węgrami? Jak stałeś się na pół Węgrem?

- KS. W 1960 roku pojechałem na Węgry po raz pierwszy. Był to wyjazd zawodowy. Wtedy poznałem swoją przyszłą żonę, Györgyi, studentkę pianistyki. Dwa lata później pobraliśmy się i po krótkim epizodzie poznańskim, następnie warszawskim, ponieważ zaproponowano mi pracę w moim zawodzie, przenieśliśmy się w 1965 roku do Budapesztu, gdzie podjąłem pracę konstruktora maszyn do zbioru warzyw w Instytucie Rozwoju Maszyn Rolniczych.

- VG. Jakie przeżycie było najważniejsze w trakcie Twojego przebywania na Węgrzech?

- KS. Co mnie najbardziej zaabsorbowało, poruszyło, to to, na ile z innych źródeł czepie węgierska kultura, aniżeli polska i w ogóle europejska. Myślę tutaj o źródłach, o starożytnych tradycjach azjatyckich. Węgrzy przed przybyciem do Europy w końcu IX wieku byli azjatyckim narodem jeździeckim – nie koczowniczym – o kulturze o wiele wyższej, mającym na przekład swoje oryginalne pismo (żłobkowane, rovásírás).

Muszę poza tym wspomnieć o pracy inżynierskiej. Na Węgrzech w owym czasie uprawa warzyw oraz owoców stała na bardzo wysokim poziomie i chlubiła się znaczącą przeszłością. Ja wyspecjalizowałem się w badaniach i rozwoju maszyn do zbioru tych właśnie warzyw i odnosiłem sukcesy. Konstruowane przez mój zespół kombajny (do zbioru fasoli strączkowej, papryki, pomidorów) zostały wprowadzone do produkcji seryjnej, jeden z nich zdobył jedną z głównych nagród Międzynarodowych Targów Budapeszteńskich (w 1973 r.). Miałem też opatentowane wynalazki, które przynosiły pieniądze.

Trzecią ważną sprawą było włączenie się, wkrótce po przybyciu na Węgry, do nurtu węgierskiego życia literackiego, a zarazem i ponownie do polskiego.

*Dokończenie w następnym numerze.*

## Igor Jelisiejew

\* \* \*

Lśniące życie toczy się  
po słonecznym kręgu -  
nie zatrzymuje się, nie ma końca.  
Śmierć jest jak  
bladożółty księżyc,  
wieczny, jak i ona,  
wysyłający przez ciemność nocy  
słoneczne promienie na Ziemię.  
Księżyc jest przedłużeniem słońca,  
śmierć jest kontynuacją życia.  
I umierając,  
nadal żyjemy.

\* \* \*

Jesteśmy jak motyle,  
latamy nad zielonymi łąkami życia,  
ale pierwszy podmuch wiatru  
zdmuchnie nas  
nie wiadomo gdzie.

### Poranek i noc

Nocne lęki rozplynęły się ...  
Poranek, jak piękna kobieta  
niedawno przebudzona,  
patrzy w lustro okien  
i, z rozwagą,  
promienie blond loków  
nawija na lokówki  
gałęzi, mieniących się rosą.  
A ja patrzę na moją ukochaną,  
na jej świeże ciało,  
i nie mogę się napatrzeć.  
Nawet jeżeli dziesięć wieków  
przeżyję na tym świecie,  
będę kochać ją tak samo,  
jak w dniu narodzenia ...  
Lecz ta mroczna rywalka,  
czarowna i namiętna noc,  
cały czas mnie prześladowuje,  
nie zostawia w spokoju,  
nie zapomina o mnie.  
A te magiczne oczy,  
płonące gwiazdzistym ogniem,  
wspominam nawet  
będąc z tobą, ukochana,  
i nie mam dokąd uciec.

\* \* \*

Starzeją się moi przyjaciele,  
starzeją się moje przyjaciółki ...  
Życie biegnie naprzód, drażniąc tylko,  
i daremne są moje wysiłki  
by je złapać, żeby je dogonić.  
Brak mi tchu, już czas na wysypisko,  
do śmietnika na resztki dni przeszłych.  
Lecz kolejna miłość ... Jakże blisko...  
Może trzeba odrzucić? A wtedy  
co ja będę robić na tym świecie,  
gdzie są tylko nienawiść i bieda,  
gdzie jasnego światła nie znajdziecie,  
gdzie nie możesz uciec już od siebie,  
gdzie się kręcisz w zwariowanym kółku? ..  
Starzeją się moi przyjaciele,  
starzeją się moje przyjaciółki ...

\* \* \*

Znowu wieczór. Chmury opadają.  
Lekki wiatr ponad nimi przeleciał.  
Razem z gwiazdą ciągle rozedrganą  
wszystko mnie zmęczyło na tym świecie.

Zamierzałem świecić bardzo jasno,  
miałem zamiar błyszczeć bardzo długo.  
Tylko życie moje w błoto wpadło,  
było tęczą – stało się szarugą.

Każdy dzień się trudniejszy wydaje,  
to co proste, zbyt ciężkie się stało.  
Choć w wysiłkach swych nie ustawałem,  
prócz miłości niewiele zyskałem.

W nocy deszczyk przypadkowy spadnie,  
zapach róż herbacianych rozniesie.  
Ja przeżyłem swe życie przypadkiem.  
Wszystko jest przypadkiem na tym świecie.

*Tłumaczenia z rosyjskiego - Kalina Izabela Ziola*

---

*Igor Aleksandrowicz Jelisiejew - poeta, tłumacz, Kozak z nad Donu. Opublikował 20 tomów poezji i przekładów. Jego wiersze zostały przetłumaczone na język angielski, czuwaski, karaczański, inguski, bułgarski, nepalski, polski, serbski, portugalski. Redaktor naczelny almanachu literacko-artystycznego „Rękopis”. Za twórczość literacką otrzymał liczne dyplomy i nagrody, w tym Międzynarodową Nagrodę im. Klemensa Janickiego (Polska) oraz honorowy dyplom Związku Pisarzy Czarnogóry.*

## Pani Zofia

*dokończenie*

Famulus fallus, gotów na skinienie oka przedzierzgnąć się w krwawego potwora, prędko zmniejszał się i zanikał. Przybierał niemowlęcą, pulchną postać. Odkryte ciała ulic rozbijały mnie. Pani Zofia — scalała.

Poznałem ją w czasach podstawowej szkoły muzycznej jako mamę koleżanki z klasy i wielką mistrzynię kulinarnego rzemiosła. Kiedy Łucja zaprowadziła mnie do rodzinnego domu, pani Zofia z marszu poczęstowała nas gęstą i zabeloną pomidorową z ryżem. Smak tamtej pomidorowej przechowuję do dziś w sanktuarium pamięci. Siedzieliśmy przy rozkładanym stole stanowiącym część regału złożonego z segmentów. Gdy ja wtedy z trudem kończyłem jeść pierwszy talerz zupy, Łucja siadała obok z drugą dolewką. Zjadała trzecią porcję wywaru, osiągając przewagę nad najmarniejszym zawodnikiem świata, jakim byłem w tej konkurencji. Starłem się dotrzymać towarzystwa Łucji, rozprawiając o czymkolwiek, zachwalając gościnność mamy lub zadając rywalce głupawe pytania. Przędniczka klasowa i, jak się okazało, stołowa w czasie trwania posiłku — pojedynku nie odezwała się słowem. Skoncentrowana na dyscyplinie wkładała i wyjmowała w ten sam precyzyjny sposób kolejne łyżki, aż wydobyła z ust łyżkę ostatnią, zwycięską. Mijała po drodze może za wąskie wargi sportsmenki. Prężyła jak na dziewczynkę zbyt szerokie plecy faworytki. Ale turniej w spożyciu pomidorowej, gdyby go ogłoszono, należał do Łucji. Byłem bowiem notorycznym niejadkiem, przekleństwem rodzinnych posiłków, źródłem nieustającej rozpaczki rodziców. Należałem do dzieci, które pozostawia się przed stygnącym obiadem z czymś na kształt gipsowej kulki wypełniającej znieruchomiałe i zamknięte usta. Pozostawia się, opuszczając pokój, w którym, jak echo armatniego huku, wybrzmiewają słowa: „Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie zjesz”. Zamyka się drzwi. Czasem na godzinę. Jest się konsekwentnym do bólu, gdy za drzwiami opadają wciąż odłamki krzyku: „Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie zjesz!” Mała pokaleczona główka kołysze się, pochyla na jedną stronę, opiera o wyciągniętą na stole rączkę i zasypia ze stwardniałą buzią.

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

Sopran pani Zofii spadł na mnie jak nóż spod sufitu. Ona z symetrycznie i wysoko wzniesionymi rękoma przypominała widelec przygotowany do ataku. Naturalnie, że pomyślałem o ucieczce. Lecz zanim aria na głos solowy z towarzyszeniem kuchennego sprzętu ucichła, zanim to nastąpiło, ja, teraz ze swadą, niespodziewanie dla mnie samego i wszystkich, którzy mnie znali, wstałem, niejadek i zmosfera domowych biesiad, uniosłem pusty talerz ponad głowę i — poprosiłem o dokładkę.

To od tego dnia stołowałem się u pani Zofii regularnie. Mam nadzieję, iż truizm „dostać się przez żołądek do serca” nie był zasadą główną, fundamentem naszej zażyłości. Po wielu latach ten nieszablony stosunek przeobraził się w związek, który scharakteryzowała sama pani Zofia. Pewnego letniego wieczoru towarzyszyłem jej w trakcie spa-

ceru. Było ciepło. Latarnie paradowały w sukniach ze światła. Powietrze miało intymny zapach ciała. Pani Zofia zwróciła się do mnie z pytaniem:

— Myślę, że spostrzegłeś, iż traktuję cię jak własnego syna?

Klatka przeszycia chłodem kamiennych schodów wiodła mnie odtąd na drugie piętro kamienicy do miejsca, które nazwałem domem z wyboru.

„Dom z wyboru — powtarzałem z lubością. — Dom z wyboru.”

Dom, który przyciągał i koił, jak tylko ukoić nas może widok kwitnącej lipy, panny młodej w pełnej krasie, porywanej przez korowody pijanych i roztańczonych owadów albo — obraz zimowego pejzażu uwalniającego o zmierzchu gotyckie kontury świerków.



Dom z wyboru przyciągał i cieszył osobą matki z wyboru: pani Zofii, osobą siostry z wyboru: Łucji, brakiem potępienia z powodu niewiedzy i brakiem wszelkich braków z powodów dla mnie niezrozumiałych. Dom z wyboru, jak nazwałem to miejsce, był domeną uwagi poświęcanej osobie i uwagi poświęcanej sztuce, sztuce, którą postrzegam, jako nauczyciela naszej uważności.

Pani Zofia i Łucja rozkładały karty do makao. Nasza towarzysza promieniała zadowoleniem. Odmienne upięła dziś włosy. Czasem, w *en face*, układały się posiwiałe w aureolę skrzypiec. Innym razem nosiła kitkę nieprzystającą do jej aparycji — Generałowej. Co na to poradzę, że każdego dnia widziałem panią Zofię inaczej? W przerwie gry pani Zofia pomaszzerowała zaprawić barszcz, a Łucja ogrywała pierwszą część koncertu Mozarta. Minęło dziesięć minut i znów byliśmy razem. Siedząc naprzeciw Generałowej dotykałem gorącego i wysokiego naczynia. Przede mną sterczał na baczność półlitrowy kubek, z jakiego pija się do dziś herbaty z cytryną w karkonoskiej Strzesze Akademickiej. To, co próbowałem, nie miało nic wspólnego z kwaśną polewką nagotowaną na liściach *Heracleum sphondylium*. Nie było zupą na zakwasie z żytniej mąki, czy chleba. To, czego kosztowałem, nie mogło być zwykłym barszczem, powszechnie znanym, jako ukraiński. To coś było świeżym zjawiskiem kulinarnym, arcy-barszczem quasi-ukraińskim *a'la Sophia*. Płyn gęsty, jasnoczerwony, pachnący nie tylko majerankiem, słodkawy i kwaśkowy, pikantny i łagodny, w genialnej mieszance składników, był doskonały. Oczywiście skomleliśmy o dokładkę. Pani Zofia przelewała do naszych kubków smak wraz z fragmentem rodzinnej tradycji. Połykając zupę, przenosiliśmy się o dziesięciolecia

i łączyliśmy przez zmysły z jej młodością, z dzieciństwem artystki kuchni, mojej drugiej mamy i towarzyski Generałowej. Piłem zupełną idealną i wpatrywałem się w twarz kuchmistrzyni, która nie wiedziała o jednym, iż mimochodem wniebowzięta odegranym przez Łucję *Allegrem moderato* mozartowskiego koncertu, uczyniła potrawę na jego obraz i podobieństwo, stwarzając koncert stołowy na barszcz i trzy kubki.

Pani Zofia: dama we filcach, matka z wyboru i towarzyska, erudytką i artystką smaku, bibliofilką i melomanką, nie-kobieta i Generałowa i, aby rzecz skomplikować bardziej, owa Generałowabas, której słowa, jak nuty basu, nadawały głębię melodii rozmów i jak nuty najniższego i najważniejszego z głosów nowe znaczenie polifonii naszych gawęd i chwil.

6.

— Wiesz chłopcze, komu Bruckner dedykował ostatnią symfonię?

— Oczywiście, że nie.

— Bogu. Kto o tym dzisiaj pamięta? Ósmą — swojemu cesarzowi.

Kochałem błogą bezczynność we dwoje na drugim piętrze kamienicy, jak tego popołudnia, kiedy po raz pierwszy słuchałem z panią Zofią Brucknera.

Nie pamiętam nazwy orkiestry i dyrygenta. Teraz, po latach, sięgam po Brucknera w wykonaniu Filharmoników Monachijskich pod dyktando Sergiu Celibidache i wiem, że słucham orkiestry, którą w 1901 i w 1910 roku dyrygował Gustav Mahler. Sergiu Celibidache otwiera wierzeje w murze czasu. Ja, *homo viator* i eksplorator dziewnastowiecznego symfonizmu, daję się prowadzić przez wzniesienia, za którymi Celibidache rozpina dźwiękową substancję brucknerowskiej symfonii do linii przypominających łańcuchy najwyższych grani widzialnego świata, rozpina, ale i rozciąga w nieskończoność, rozciąga, ale i powstrzymuje kształtowanie owej substancji, sugerując naszej percepcji jakąś obecność, przygotowując naszą percepcję na spotkanie, które nastąpić może nagle pośród natrętnie powtarzanych, jak uporczywe inkantacje lub tęskne supliki, obsesyjnych figur i motywów zaklętych w progresjach zmierzających w górę, zmierzających coraz wyżej — zmierzających na spotkanie z przewyższającym wszystko niebem i tajemnicą, na spotkanie z przemieniającą nas przestrzenią misterium, na spotkanie niepoznanego twarzą w twarz, tu i teraz i tylko przez chwilę, tylko przez jedną chwilę, bo przemieniająca nas przestrzeń misterium i przewyższające wszystko niebo i tajemnica pozwala obcować ze sobą chwilę. Po takim Brucknerze, nie chce się wracać, nie — do czasu, do poprzedniego stanu egzystencji, do życia przed Celibidache. Jak zwykle pluję na krytyków, którzy w Brucknerze dostrzegają krawca wpychającego zgrabnego Wagnera do rozwlekłych kostiumów swoich symfonii: Bruckner — to Wagner, co rusz budzący się w nowym symfonicznym przebraniu. Celibidache zarzucali dziwactwo i przesadę w stosowaniu wolnych temp. Ignoranci, jak mawiał rumuński maestro, dla którego muzyka była przejściem ku transcendencji, drogą do doświadczenia prawdy, a piękno — słowami Celibidache — zachętą do podjęcia wysiłku. Bruckner wypełnił pokój. Ciśnienie jego sztuki trzymało panią Zofię w bezruchu, kiedy pamiętnego popołudnia podnosiłem ze starej płyty ramię gramofonu.

Czy ta już nie-kobieta, istota wzniesiona ponad pieć, była oficerem Boga, w którego nie

wierzyłem? Jego posłańcem, rodzajem anioła stróża, który wypełnić miał określone przez wyższą potrzebę zadanie? Nie mam pojęcia. I nie wiem, czy powinienem zazdrościć Mahlerowi inicjującego bólu obrzezania, ja, duchowy bezdomny i banita wygnany z chrześcijańskiej a wpędzony do fikcyjnej Rzeczypospolitej. Bo tak się jakoś stało. Jakoś — to wszystko. „Jakoś to będzie” — mawiano wtedy często. I faktycznie — było jakoś. Słuchając pani Zofii, nie ustawałem w wierze, że rodzice jakoś mnie kochali. Nie — kochali jak potrafil, jak umieli najlepiej. Zdecydowali jednak, że nie posłać mnie do kościoła. W szkole ukrywałem spojrzenie w pęknięciach klasowej podłogi, kiedy poruszano temat religii, a poza szkołą o wszystkim zapomniałem. Jeśli zlekceważono istnienie, a w następstwie rozwój duchowego wymiaru osoby, to, idąc tropem pani Zofii, niewątpliwie uczyniono ze mnie kalekę. W rzeczywistości zrobiono sowieckiego Polaczka — w skrócie: zjadacza. Byłem zjadaczem pożerającym dwa razy do roku kościelny kalendarz. Pożerałem dwie serie dni, które, rok za rokiem i dwa razy w roku, oferował kościelny kalendarz. Najpierw pożerałem je dla możliwie najbardziej zaległych i absorbujących porządków. Później — dla długich godzin spędzanych przed telewizorem, dla pałaszowania karpia i chrupania święconki, pochłaniania niezliczonej ilości ciast i słodyczy, dla pomarańczę i świątecznych wiktuałów, dla bezmyślności i braku przyzwoitości. Bo święta kulinarne, jak je zapamiętałem, coroczne święta kulinarne odbywały się rok w rok i dwa razy w roku, kiedy tak bywałem obżarty, że nie miałem nawet siły, aby nic nie robić.

7.

*Czasami wydaje mi się, że niebo musi być jedną niekończącą się lekturą.*

— Czytam, aby na powrót spotykać Ryszarda na kartach ukochanych powieści. Czytam, bo tęsknię za człowiekiem, którego kocham i czytam, by tęsknić bardziej. Boję się dnia, w którym mogłabym przestać tęsknić, kochać, przestać czuć, stać się kawałkiem drewna. To mnie przeraża, śnięm o tym, dlatego, aby czuć więcej i głębiej — czytam. I czytam, ponieważ na nowo chcę zaufać słowom obcym oficjalnej i codziennej litanii polskich kłamstw. Czytam, by zatrzymać się nad pięknem, harmonią zdania, które nie boi się prawdy. Jedno zdanie potrafi mną wstrząsnąć, a wtedy nie jestem tym samym człowiekiem. Dla zdań czytam. Gdyby świat pozbawiono książek, udusiłabym się pierwsza. Oddycham nimi. Ufam im. Przez nie istnieję. Dzięki książkom rozumiem, kim jestem, czego doświadczam, i że to ma sens. Kiedy nie mam kontaktu z książką, przestaję być sobą. Czytam, aby wracać z literatury silniejszą, ale także, by śmiać się i jednocześnie płakać...

Pani Zofia odchyliła głowę do tyłu i przymknęła powieki.

— Książka jest jak okulary...

— Okulary?

— Okulary, przez które mogę zobaczyć wszystko od nowa, oczami Zosi zobaczyć. Książka leczy niewiarę, lęk, goi rany duszy. Literatura jest lekkiem, lecz trzeba wiedzieć, jak go stosować: co czytać i kiedy. Chce się krzyknąć: „Otwórzcie, jak okna, książki i przewietrzcie wasze głowy i serca!” Boże, nie umiem inaczej. Nie wiedziałeś, że książka odmienić może życie?

Dominik Żyburtowicz

**Droga Mleczna**

*Dla Marty Solomej*

Co noc jestem niebieską twarzą,  
śmiejącą się do ciebie gwiazdami.  
Gdy mówisz przez sen, spadają  
w twoje otwarte usta. Studnia.

Studnia. Kosmiczny rytm, o którym  
myślisz dwadzieścia i cztery, a może  
więcej nawet, prawdopodobnie gdzieś za  
czasem, za niewidzialną ścianą – ekhm!

– chrząkasz przez sen i się budzisz,  
rozjaśniona. Zapisujesz. A ja wiem, ja czuję.  
Twój dotyk na teraz jagodowej twarzy. I  
znowu płaczemy – przepraszam – piszemy  
razem.

Krystyna Wojciech-Ratajczak

**Spiccato życia**

Jak to jest  
Być żoną, matką, kochanką  
Jak to jest  
Miłość, troski, oddanie  
Otoczyć  
Delikatną, srebrną  
Lamówką  
Spiccato życia  
Takie pełne  
Przemierzam życie  
W podróży długiej  
I wyczerpującej  
Pełnej szczelin  
I rozpadlin  
Przenoszę słowa, uczucia  
W zielonym pnączu  
Na bliskich  
A serce jak linoskoczek  
Dotyka małość  
I wielkość spraw  
Tak to jest być  
Matką, żoną, kochanką  
kobietą

Krzysztof Grzechowiak

**Pewnego dnia opuściły mnie sny**

Pewnego dnia opuściły mnie sny  
Te z różową skórą miękkie wilgotne  
I te o spadaniu pełne lęku  
Nikt nie przychodził skrzynka na listy

zardzewiała  
I na próżno czekałem przy drzwiach  
Na dzwonek szuranie nogami drapanie  
w futrynę

Zamykałem powieki ale za nimi  
Pusty tunel powietrza  
Żadnych twarzy poruszeń szeptów  
Nawet zmarli przestali być obecni  
Zostawili nasze tory małych planet  
Opuściły mnie sny i w nocy  
Jak w futerale nieczynny instrument  
Leżą zlodowaciały i nic nie przenika  
Skorupy ciała do wnętrza.

Radosław Grzegorzcyk

\* \* \*

Przeklnij mnie gruboskórnością katedr  
I średniowieczem zrodzonym z podróży do  
Emaus  
Wyrafinowaniem cudownych obrazów mnie  
przeklnij  
I kosmiczną ciszą zza pleców Madonny

Sprzedaj mnie tanio jak byłe słowo  
Złam wszystkie słowa po pacierzach dane  
Jam z duszą na ramieniu chodził  
Gdy ze słowem trzeba było chodzić jak  
z bronią

Na pastwę mnie rzuć chorej wyobraźni  
Hieronima Boscha  
Każ nago stać do kolejnej zagłady -  
Przeklnij mnie - bo na kamieniu siedząc  
płaczę  
Po trzykroć zaparłszy się Pana...

Bogna Wiczyńska

\* \* \*

nie uprzedziłam cię córeczko  
że z tego ziarenka którym jesteś  
wyrosną dłonie stopy palce dwoje oczu  
a ja ci pokażę  
jak nimi dotykać co one mogą  
zobaczyć poczuć chwycić

lecz gdy już to pojmiesz  
i zechcesz wszystkiego próbować  
rękoma ustami oczami

to zaczniesz ci brakować – to rąk  
by poczuć  
to oczu by zobaczyć  
to stóp by uciec

Jerzy Marciniak

#### **z głębin**

wieczorami  
chodziłem nad brzegiem morza  
ona  
wynurzała się z fal  
i była jasna i biała  
jak kora brzozy świecąca nocami  
w ciemnościach  
i jak dawna noc  
czernią rozjaśniająca wszystko  
co  
zostało kiedyś za mną  
za nią  
i za nami

Jerzy Beniamin Zimny

#### **Sylwestrowy wiersz**

Ilu Jerzych pisze wiersze w taki  
sposób aby nie znieważyc świata.

Wątpliwa natura pióra w dłoni drżącej  
od podnoszenia kieliszków.  
Krzywa wznosząca dźwiga wszystko  
a jest tego więcej niż wierszy.

Kartony i butelki wdzięczny temat liryczny.  
Kobiece majtki, honor i ojczyzna,  
wszystko razem w inwokacji do dzieła epoki.

Nie ma już terenów łownych dla Jerzych  
piszących wiersze. Nie ma przebaczenia.  
Muszą położyć głowę na chłodnej piersi.

Andrzej Dębowski

#### **Kamienie życia**

Kim byli ludzie,  
którym zawdzięczamy przyjście na świat?  
Wrodzone zdolności,  
rysy twarzy –  
skąd się wzięły?  
W młodości nie zastanawiamy się nad tym.  
A później,  
kiedy odejdą już dziadkowie i babki,  
kiedy odchodzą  
– nim się zdążyło wypytać –  
ojcowie i matki,  
nagle zdajemy sobie sprawę,  
że w wieku informacji  
można zdobyć wiadomość z dowolnej  
dziedziny,

oprócz elementarnej  
– skąd jestem.  
To nasi przodkowie,  
usiłując przeniknąć wzrokiem daleką  
przyszłość,  
mogli zaledwie snuć przypuszczenia.  
Ale my o nich mogliśmy naprawdę coś  
wiedzieć.

Pełni poczucia wspólnoty i zdziwienia  
– czyżby wszyscy wyszli stąd,  
z tego na wpół zniszczonego domu? –  
chodzili dookoła,  
zaglądali przez okna,  
wsluchiwali się próbując zrozumieć to,  
czego nie da się zobaczyć  
– bieg czasu.

Kto nie pamięta przeszłości,  
ten nie ma przyszłości,  
choćby powtarzał wciąż te same słowa.

Różne kamienie spotyka człowiek na drodze  
życia.

Jedne usuwa z pola,  
inne gromadzi,  
żeby zrozumieć, żeby zbudować dom.

Kamień jest twardy i wieczny.

## Planeta smartfonowych zombi

W smartfonie osaczyć nas może wszystko: nowy post znajomego, kuriozalna fotka rzeczywistości, która nie istnieje, nowa gra, na której premierę długo czekaliśmy, e-mail od szefa, który najchętniej pożarłby nas żywcem i jeszcze na dodatek popił rozpuszczalnikiem. Ekran mamy bajkowymi kolorami nakładek i tysiącami możliwości, uwodzi tajemniczym tańcem pikseli. „Smombie” nie są tu wyjątkiem, wydaje się, że każdy z posiadaczy smartfona prędzej czy później znajdzie się w sytuacji, gdy pochłonie go wirtualna hurysa, zakłęta w prostokątnym gadzecie. Szczególnie to niebezpieczeństwo wisi nad dziećmi i nastolatkami, którzy nie potrafią jeszcze wykrzesać w sobie krytycznego oglądu rzeczywistości. Jednak i wiek nie jest rodzajem pola siłowego, które nie pozwoli człowiekowi przekształcić się w nieobecnego duchem tu i teraz „smombie”. Także młodzież oraz młodzi dorośli mogą ulec pokusie metamorfozy w „smartphone zombie”. Zresztą obserwując osoby z tego przedziału wiekowego - choćby w środkach komunikacji miejskiej, można powiedzieć, że TO się już dokonało. Transformacja przebiegła błyskawicznie.

„Smombie” – to słowo powstałe z połączenia dwóch innych, angielskich: „smartphone” i „zombie”. Określa ono plemię, na które muszą uważać pozostali uczestnicy ruchu drogowego. Szczególnie kierowcy samochodów. Niektóre miasta starają się więc pomóc „telefonicznym potworom”, by ci bez przeszkód snuli się po ulicach, nie odrywając wzroku od ekranu. I tak na przykład belgijskie miasto Antwerpia zaoferowało uzależnionym od telefonu pieszym specjalne tory do poruszania się z telefonem przed oczyma. Podobnie działający chodnik dla „smombie” wybudowany został w jednym z chińskich miast. W Augsburgu i Kolonii wprowadzono uliczną sygnalizację świetlną, ale na poziomie chodnika. Uznano bowiem, że zapatrzony na ekran maniak nie spojrzy nawet na zwykłą sygnalizację. Jest jednak szansa, że kątem oka dostrzeże ją, którą znajdzie wprost pod nogami.

Co jest takiego w Internecie konsumowanym ze smakiem przez „smartphone zombie”? Pyszne pakiety gigabajtów! Coraz więcej użytkowników – zamiast komputerów stacjonarnych czy przenośnych laptopów, wybiera mobilny Internet w telefonie. Badacze uzależnienia od sieci wykazują, że dla współczesnego młodego człowieka smartfon stał się „silva rerum” (z łacińskiego: „las rzeczy”). Dawniej był to rodzaj księgi domowej, zawierającej wszelkiego typu i tematyki teksty, opisy wydarzeń codziennego życia, przemyslenia, cytaty, motta, żarty, przepisy kulinarne, porady. Słowem – ogrom wiedzy, uznanej przez daną rodzinę za ważną, ciekawą, wartą zanotowania. „Smombie” wciąż są głodni wiedzy i/lub rozrywki. Najbardziej obawiają się nie wybuchu III wojny światowej ani zdrady ze strony męża czy żony, ale FOMO (z angielskiego: „Fear of Missing Out”). Skrót ten oznacza lęk przed odrzuceniem; obawę, że użytkownik dowie się o czymś dla niego istotnym zbyt późno. Zatem konieczna jest ciągła uwaga, oko pełnie

nerwowo po tekście, przeskakuje przez obrazki. Według badań okulograficznych (z angielskiego: „eye tracking”), które śledzą drogę wzroku inter-nautów, użytkownicy sieci najczęściej czytają pierwsze linijki tekstu po lewej stronie ekranu. Kto ma trudność z przyswojeniem wyników badań, powinien wyobrazić sobie literę F. Reszta tekstu i obrazki oglądane są wyrwykowo. Ważny jest atrakcyjny „lead” – czyli pierwsze dwa, trzy zdania tekstu, na ogół pogrubione, zamieszczone pomiędzy tytułem a wstępem. Lead powinien być krótki (około 200 do 500 znaków), konkretny i zrozumiały. Zdania powinny być pojedyncze, a zastosowane słowa – kluczowe dla zrozumienia, o czym jest dany tekst.



Dość często rolę tych nagłówków – pułpek pełnią zdania zawierające pytanie. Dokładna analiza tych pytań pozwala stwierdzić, że jeśli tylko się pojawiają, to na 99 procent odpowiedź na stawiane przez nich pytania brzmi: „Nie!”. Internauci najczęściej czytają tylko to, co zmieści się na ekranie ich smartfona. Ważna jest dla nich linia zanurzenia, czyli obszar, który użytkownik Internetu widzi po wejściu na daną stronę, bez przewijania jej w dół. Linia zanurzenia na ogół obejmuje tytuł tekstu i jeden do dwóch akapitów. To tam twórcy artykułów starają się upchnąć jak najbardziej ciekawe czy szokujące treści. A czytelnik z zimną krwią, bezwzględnie selekcjonuje informacje. Jego uwagę przyciągają jednakże liczby i zdjęcia twarzy, tak zaprogramowała nas ewolucja. Specjaliści od marketingu internetowego doradzają, że jeżeli czytelnik powinien zdaniem autorów tekstu zwrócić więcej uwagi na jakieś treści, na stronie warto umieścić zdjęcie osoby, której wzrok będzie skierowany właśnie na obszar owych istotnych zdań. Ciekawostką może być fakt, że nie tylko ludzkie twarze przyciągają wzrok „smombie”. Ludzki umysł łapie się na różne wizualne pułapki i czasami z ludzką twarzą może mu się kojarzyć... gniazdko elektryczne. W końcu widzimy przecież dwa otworki niby oczu i otwarte usta plastikowej twarzy.

W mniej poważnych tekstach dopuszczalne są wszelkie skrótowce. Jak wyjaśniła to Alina Naruszewicz-Duchlińska w książce „Kultura zachowań językowych w internecie”, publikujący w sieci dąży do ekonomizacji środków językowych. Chętnie stosuje ucinanie fragmentów wyrazów – czyli de-rywację ujemną (mamy więc na przykład: „wykon”, „komp”, „koment”, „pozdr”). Choć Facebook pozwala na posty do 60 tysięcy znaków, większość i tak mieści się między 40 a 150 znakami.



## U zarania opowieści

Składanie odłamków rzeczywistości, aby zaprezentować złożony fakt, odbywa się zawsze w warunkach niesterylnych: żona smaży jajecznicę, pająk bezceremonialnie rozsuwa sieć nad głową myśliciela, teściowa robi na drutach kolejny znie-nawidzony szalik, za który przyjdzie solennie dziękować, piwo się kończy, a chwasty zarastają ogród. Ponadto myśl waha się pomiędzy konsumowaniem rzeczywistości a smakowaniem kontemplacji z wieczną wizją przegranej po stronie idei.

Nawet gdy wszystkie kawałki znakomicie pasują do jednego wzorca, to nadal nie uzyskaliśmy gwarancji „prawdziwości” tego wzorca: „prawdy przyjmowane obecnie mają tendencję do przemiany w odrzucone błędy dnia jutrzejszego”. Do-dałbym tylko, iż składanie z kawałków ex necessitate wymaga dopasowywania i natrafia na luki; ich wypełnianiem obecnie się zajmujemy. Myśl Doddsa jest piękna, lecz nie przedstawia żadnej eksploracyjnej wartości.

Foucault zaś z upodobaniem pluska się w granicznych rzekach. I ja tam skaczę, jakbym dojrzał znaną mi z dzieciństwa bifurkację Nielby i Wełny, zwaną w Wągrowcu Krzyżową. Znowu Mistrz analizuje przełom między konwencją i naturą. I tako rzeczce: „Prawem natury jest różnica słów i rzeczy – wertykalny podział na język i to, co musi on desygnować poniżej siebie; regułą konwencjonalną są odwzorowania między słowami, wielka horyzontalna sieć, która tworzy słowa za pomocą innych słów i bezgranicznie je rozszerza”. To obraz nie moich rzek. Wszak słowa nie dotykają rzeczy jednostkowych. Osiadają w myślach na całych rzeszach przedmiotów. I dziś, i w paleolicie wszystko działo się w ludzkim umyśle, nie na zewnątrz.

Nieco wcześniej pisze: „To prawda, że u zarania dziejów człowiek wydawał tylko proste krzyki, ale stały się one mową dopiero w dniu, gdy zawarły w sobie – nawet wewnątrz monosylaby – relację należącą do porządku zdania”. Uproszczona interpretacja przejścia (przeskoku) od natury do sztuczności. Rzeka płynie nadal, zwęził się jedynie badany szlak w miejscu i chwili badania.

Ucina ten dyskurs Wittgenstein zimnym jak lód stwierdzeniem: „W świecie wszystko jest, jak jest i dzieje się, jak się dzieje; nie ma w nim żadnej wartości – a gdyby była, to nie miałyby wartości”. Aż dreszcze przeszywają czytającego te słowa. Potem jednak dodaje: „Jeżeli jest jakaś wartość, która ma wartość, to musi leżeć poza wszystkim, co się dzieje i zachodzi. Albowiem wszystko, co się dzieje i zachodzi, jest przypadkowe”. Wszelki determinizm jest wytworem ludzkiego umysłu. Niestety jest tak, jak mówi. Chłodna logika przypadku rządzi i światem, i człowiekiem. Niewiele mamy do powiedzenia. Tak nam dopomóż Bóg! Ociepla nieco tę wizję Levinas: „Milczący świat faktów to spektakl zaczarowany: każde zjawisko jest maską, nieskończoną mistyfikacją, tak że aktualność staje się niemożliwa”. A skoro nieuchwytna staje się aktualność, również przeszłości nie sposób przenicować tak, aby odsłonić zaranie języka. Determinista uwierzy z pewnością w siłę dociekania wstecz, w skrupulatną eksplorację tego, co teraz, w celu cofania dziejów. Niestety, możliwe są

tylko skoki w czasie podobne do susów po bagiennych kępach turzycy i powierzchniowa myślowa lustracja zatrzymanej w ten sposób okolicy. Moczary kryjące się pod tajemnicą skoku zasnuły powłoką mętnej wody prawdę.

Nie twierdzę z przekonaniem, że prawdę się odkrywa. Być może tworzy się ją i temu służy język. Wielu twierdzi, że istnieje coś, co nazywamy prawdą, i że faktem jest jej obowiązywanie. Rorty wychodzi z założenia, że „rzeczywistość ma się nijak do naszych jej opisów”. Niestety, nasz opis świata będzie do końca niedoskonały. Jak wspomniałem, opisujemy tylko wierzch mętnej wody tajemnicy. Głębia i spód rzeczywistości pozostają nieznanne. Jedynie myśl potrafi się tam przedrzeć i walczyć o przetrwanie. Ale Rorty odnalazł naukową nadzieję w „romantycznej idei, iż prawdę stwarza się, a nie odkrywa” i dalej, „że języki stwarzają się, a nie odkrywa i że prawda jest własnością bytów językowych, zdań”. I po chwili dalej: „Poprzez twierdzenie, iż to wyobraźnia, a nie rozum jest zasadniczą władzą człowieka, romantycy dawali wyraz przekonaniu, że umiejętność mówienia inaczej, a nie dobrego argumentowania stanowi główne narzędzie zmiany kulturowej”. Czy czasem amerykański filozof nie zawierał zbyt silnej własnej definicji prawdy, czyniąc ją założeniem tego, do czego zmierza? Byłaby to petitio principii w klasycznej odsłonie. Myślenie ciekawe i niestereotypowe, ale niebezpieczne przez ignorowanie rozumu.

Rorty nie zgłębia mgieł praprzyczyny powstania języka. I język, i kulturę uważa za motyle przygodności i kwiaty mutacji, „które znajdują możliwość przetrwania”. Eo ipso amerykański filozof odrzuca jakąkolwiek przedjęzykową świadomość zapowiadającą nadejście dziejowej awangardy, jaką niewątpliwie była ludzka mowa bez względu na to, czy pojawiła się przygodnie, czy w wyniku jakichś następstw. Nie było zatem w człowieku „żadnego głębokiego poczucia tego, jak się rzeczy mają, którego wypowiedzenie w języku byłoby powinnością filozofów”.

Większość eksploratorów języka powołuje się na konieczność jego powstania jako na coś zewnętrznego. Nawet jeśli dostrzegają mentalny imperatyw narodzin mowy, mówią o tym jak o czymś sensualnie dotykającym; podobnie umiaramu towarzysowi podróży mówi się uspokajająco: już niedaleko, zaraz koniec wędrówki. A podróż jest nieskończonym zgłębianiem kanionu. Nawet osiągnięcie jego dna nie odkryje nam tajemnicy. Ale każde zejście w głąb urwiska odnajduje nowe ślady.

Również obrazowa ekspozycja Schopenhauera, choć filozof genialnie wskazuje bieg granicznej rzeki, wygląda na strzepywanie pyłku z czystego ubrania podczas jej przeskakiwania. „W ten sposób mowę, podobnie jak każde inne zjawisko, które przypisujemy rozumowi, i wszystko, co różni ludzi od zwierząt, można wyjaśnić za pomocą jednej i prostej rzeczy jako jej źródła: za pomocą pojęć, przedstawień abstrakcyjnych, nie naocznych, powszechnych, a nie indywidualnych w czasie i przestrzeni”.

---

*Fragment artykułu „Szkice o cichym sterniku...”, Migotania 2017.*

## Janusz Urbaniak

### Wtedy

tak stary człowieku siedzący  
nad potokiem albo spoglądający  
do studni z której piłeś przez  
wszystkie te lata niepochwycone

który toczysz walkę być może  
najszlachetniejszą i wiesz już  
jak potężne są samoczyny  
i jak słabe wobec nurtów prawdy  
a góry stoją niepostrazone

a ty wiesz już że musisz oddać  
te uskładane kamyki piękna  
po które łapczywie wyciągałeś  
dłonie

musisz je oddać jedne po drugich  
drugie po trzecich aż wyczerpie się  
głód dany ci pewnego dnia  
aż wyczerpią się monety  
stawiane do ostatniego brzęku  
do ostatniego przydechu  
wtedy zrozumiesz

## Anna Elżbieta Zalewska

*prof. Januszowi Rybakowskiemu*

\* \* \*

Prostujesz zawile  
ścieżki życia  
w labiryncie  
zagmatwanych myśli  
lekarzu dusz  
podajesz rękę  
zagubionym  
ludzkie tajemnice  
zachowujesz  
w sercu

## Danuta Ewa Dachtera

### Zmęczenie

Już rok od zatrzymanego czasu  
życie toczy się od lockdownu do  
śmierci

Przyjaciel oczekuje uwagi  
kiedy domownik ślania się

Bomba wybucha  
niefortunnie.

## Zbigniew Ikona Kresowaty

### Poeta przychodzi wcześniej niż światło

Jest czwarta rano - dnieje  
Przedwiośnie poranek ledwo widać okno  
drepczą buty po kawałku podłogi od kłamki  
do obrazu od okna do lampy i biurka - poeta  
wrócił z puszek nakarmić psa - idzie do

łazienki  
zmywa z siebie noc jednym okiem zerka  
przez szybę lustra widzi krzywą twarz  
- Jest INNY jakby zaglądał przez krzyż

rozpięty  
na szybie każde okno ma znak krzyża i dużo  
łez

- spogląda dalej czarny kruk na ganku  
dziobie kość

skąd ta ogromna kość! - Patrzy na regał  
pełen białych  
kruków wczoraj szukał pomiędzy nimi  
ważnego słowa  
nie pamięta czy znalazł ale dotyka je

wzrokiem  
obok jak obłok pies dywanik u łóżka?

Dziewczyna śpi jak na mgle wróciła! - noc  
ładna kochanka on dotyka ustami jej rzęs  
znów patrzy w nią jak w lustro - usta  
sadzą się zaczerwiły - teraz musi je napęścić  
przestrzenią dnia - - - - -

Jest szósta trzydzieści wciąż dnieje  
ulice ruszają pod przechodniami  
- zaczerwieniły się dachy odlatują kominy  
unoszą się na skrzydłach tumany  
zaraz zgasną lampy panienki i obmioty  
wejdą do swoich nor - Jeszcze miota się  
niezależny Shadows kruk na dachu  
ganku? - dziobie szuka uparcie oka?  
- wciąż dziobie białą ogromną kość  
czego on chce czego w niej szuka?

Poeta spogląda na swoje białe kruki  
zamknięte w regałach i nieodparta chęć  
wypuścić je uwolnić opróżnić regały  
- ale spojrzął na psa

na jego wilczą sierść wacha ręce  
którymi gładził psa przed wyjściem - znów  
miota się w zapachu marlboro jeszcze go  
unosi

ten dym po pokoju nosi - zaciąga się w pętli  
smogu

unosi go coraz wyżej węzeł nad głową  
- wiersz został zapisany

Jerzy Grupiński

## Koniec języka za przewodnika?

Tytułowy, symboliczny śnieg w książce Katarzyny Michalewskiej pojawia się w niewielu wierszach. Autorka nie uległa łatwej pokusie, do której skłaniają powszechnie przyjęte w języku określenia, poetyzmy, odwołania, które nietrudno tu wyliczać – aż po zadziwiające (przepisuję z Władysława Kopalińskiego) przysłowie „Bodaj cię śnieg spalił”, zwrot każący podziwiać żywioł i wyobraźnię języka naszych praojców.

Otwierający książkę „Przekład z Ciorana” zapowiada, zakreśla teren, przestrzeń autorskich eksploracji.

*W językach martwych widać  
wyraźnie każdy przejaw życia*

*Pod szkłem powiększającym  
biel i – jak na dłoni*

*krew pulsuje różnobarwną  
mową śniegu (...)*

Będziemy więc rozmawiać z tym, co martwe, nieobecne? A Bóg w puencie wiersza okaże się *Wielkim Niemową*? Jednak czytamy tu także, że *W martwym języku / trwa ożywiona rozmowa z Bogiem*. Jak pogodzić te „zeznania”? Z pomocą mogą nam przyjść komentarze do pism ezoterycznych, objaśnienia do „Kabały” i innych świętych tekstów, zapisanych tylko spółgłoskami. Mówią one, że *Bóg jest między literami*, to Ruach – Boskie Tchnienie, oddech, wartość wokalna wyrazu, którego „na głos” nie przeczytalibyśmy, gdybyśmy nie dodali samogłosek, zgodnie z intencją tekstu. Tak więc to, co istotne, nie jest zapisane. Boskie Natchnienie współtworzy słowa i daje im sens. *Bóg szuka mnie / po śladach, / które dla mnie / zostawia...*, pisze Katarzyna Michalewska w swej poprzedniej książce pt. „Ziemia Święta” (2012). W tym też tomiku czytamy: *Bóg jest magnezem, a ty / opilkami metalu...*

Mimo wszystko widzenie, pisanie Katarzyny Michalewskiej próbuje zgarnąć, zapisać ten świat po ludzku, na miarę człowieka, zbudować go – zobaczyć, doświadczyć („Idy sierpniowe”). Tu przestrzeń nieba, lot odrzutowca, ruch siatki na motyle i gest staruszki poruszającej kijem budują na nowo wymiary przestrzeni i perspektywę. Bo to *Chwila przechodzi w wieczność (...)* *cień pożyczony od zmarłych zanim / porwie nas / słońce*. Piszę o przestrzenności, wykreślaniu tych tekstów, bo właśnie te gesty poetki często budują, zapisują wiersze – między innymi „List – opad”, „Życie nie musi być...”, „Postscriptum”. Granice, ograniczenia naszej empirii, sensualnego obrazu świata to granice języka. Przywołajmy wiersz pt. „Zapis intymny”:

*Tam gdzie kończy się ciało  
zaczyna się język  
Obrysowujące pamięć sypkie światło  
coraz głębsze warstwy  
w żarliwych odsłonach zamknięte formy  
Domagają się czułości  
jak święty bezwstyd nietrwiałych  
znaczeń (...)*

**PROTOKÓŁ**  
kulturalny

Bliskie jest autorce myślenie Emila Ciorana, przywoływanego w książce „Nie mieszka się w kraju, mieszka się w języku”. W tworzywie tak trudnym i niewdzięcznym, stąd egzekucja słów w tekście „Wieczór autorski” i „obce słowa” w „Lekcji języka” – by przywołać choćby dwa wiersze spośród wielu eksplorujących tę problematykę. Bo jak pamiętamy „*Granice naszego języka są granicami naszego świata* – pisze Wittgenstein, który jest tytułowym bohaterem wiersza pt. „Krótka teza...”.

*To  
o czym – nie można  
mówić – należy*

*przybić  
do krzyża*

Przysłowiowa niepewność, nieprzystawalność słowa do rzeczy kieruje autorkę ku wizji prostego, odartego z wątpliwości świata materii, jej obrazu niepodlegającego weryfikacji. Przyłącza się do zachwytu Zbigniewa Herberta nad holenderskim malarstwem („Martwa natura z wędzidłem”), bo tu *Pospolite ruszenie butelek... mróz podkuwa konie*.

Są w omawianej książce strony, których autorka porzucając *koniec języka za przewodnika*, nagle otwiera się na urok tego świata, nie wątpiąc w jego istnienie i swoje prawo do jego odczytania i przeżycia. Zostajemy obdarowani wtedy niezwykłą poetycką frazą *Róża płonie w nocy / Noc płynie w róży / Sny* – („Podróż w błękicie”). Chcemy wierzyć w ten świat i podziwiać go, pełni nadziei, jak między innymi w wierszu \*\*\* „Niepokój”:

*Jest ostatni dzień maja  
gasną dmuchawce  
rozsypaną się puzzle jerzyków  
- znów nie udało mi się  
utrzymać w całości (...)*

Ale wróćmy do wiodącej problematyki tomiku. Upraszczając – bohaterami – tematami wiodącymi są opozycje: światło i mrok, słowo i milczenie (cisza), rzeczywistość i jej wyobrażenie – zapisanie. Streszczając – świat – człowiek – język. Ta problematyka była obecna i w poprzednich książkach Katarzyny Michalewskiej. Przypomnijmy wstęp pióra Andrzeja Ogrodowczyka do tomiku pt. „Dialog” (rok 1994): „Co jest po stronie Boga – pyta poetka – milczenie? Co jest po stronie człowieka? Rozpacz?”. Przywołałem w tym omówieniu nazwiska i cytaty Mistrzów. Trudno się oprzeć chęci przywołania Tej, która poszła dalej, która aż tyle osiągnąwszy w Słowie, w końcu uchyła się, „dezertuje”, bo *zapisy nie są ważne*. Oto wyznanie Krystyny Miłobędzkiej (Kulturaupodstaw.pl): „Jest coraz mniej do zapisania, nie tyle mniej świata – nie, świata jest dla mnie bardzo dużo, może nawet więcej niż wtedy, gdy zaczynałam pisać – ale niekonieczność zapisania tego słowami jest coraz wyraźniejsza. Zapisy nie są ważne, ważne jest to, że się coś widzi i słyszy, czegoś dotyka – ale to niekoniecznie musi być powiedziane. Doświadczenie życia jest poza słowami”.

Katarzyna Michalewska, „*Na granicy śniegu*”, Wydawnictwo FONT, Poznań 2019. Wewnątrz książki fotografie wykonane przez autorkę.

Alicja M. Kubiak

## Pałac

Czasami śnię o tobie. Jesteśmy w ogrodzie, a w nim – jak w domu – meble porozstawiane. Rozmawiamy, jakbyśmy się znali od samego początku świata, albo jeszcze dłużej. Pałac góruje nad nami. Jest obcy i niedostępny. To twierdza, do której nikt nie wchodzi. Jego mury skrywają wnętrza mroczne i tajemnicze. Miejscami odpadający szary tynk, odkrywa piękno czerwonej cegły, która lśni.

Siedzimy naprzeciw siebie, a żywe światło ognia oślepia nasze myśli. Przez moment milczymy, by nie uronić chwili ciszy. Spojrzenia gasną, gdy słowa błędzą na ustach. Przełknąć ich nie sposób, gdy mroczna mgła wylewa się z zakamarków, wtłaczając niepewność w uczucia.

Anna Landzówczak

## Celka

Przedpołudnie mroczne, grudniowe. Choinka mieni się i migocze to czerwienią, to żółcią, to znów błękitem. Jestem sama w salonie, sama w całym domu, jak to przed południem.

Fakt, że nie przebywam akurat w kuchni ma kluczowe znaczenie, bo z kuchennego okna jest widok na podwórze. Przez świątecznie umyte szyby widziałabym dokładnie wjeżdżający na podwórze ambulans ratownictwa medycznego. Przypadkowo nie zamknęłam drzwi wejściowych na zamek, zwykle to robię. Usłyszałam, że ktoś bez pardonowo wszedł do domu i gromkim głosem zawołał z przedpokoju:

- Dzień dobry!

Zaniepokojona wyjrzałam i zobaczyłam mężczyznę w uniformie ratownika, z maseczką na twarzy.

Odpowiedziałam na powitanie, a pan oznajmił:

- Przywieźliśmy panią Moczarek.

Rozdziawiłam buzię ze zdziwienia. Pan z wrodzoną lub nabytą pewnością siebie dodał:

- Numer 29.

- Nie, tu jest 28.

- 29, jest tabliczka!

- 28, proszę pana. Wiem, gdzie mieszkam.

Możliwe, że jeszcze chwilę trwałoby przerzucanie się numerami, ale pokazał się drugi pan, który poszedł sprawdzić tabliczkę i potwierdził moją wersję.

- To gdzie jest 29? Bo my przywieźliśmy panią Moczarek – panowie stracili dotychczasową pewność siebie.

- Kolejny dom – odpowiedziałam uprzejmie.

- Do widzenia - wyszli i odjechali. Ciekawość zaprowadziła mnie do okna z widokiem na dom sąsiadów. W istocie, zatrzymali się tam i za

chwilę wynieśli nosze okryte w całości zieloną tkaniną. Dostrzegłam zarys drobnej ludzkiej postaci. Sąsiad przeniósł tobołki i otwierał drzwi.

A co, gdyby weszli do mojego domu od razu z noszami? Wszak na pewno siebie im nie zbywało. Miałabym Celkę pod choinkę!

Następnego dnia sąsiadka – seniorka zmarła.

Zdzisław Czwartos

## Lemiesze i odkładacze

Naprzeciwko mnie siedział człowiek tyłem zwrócony do kierunku jazdy. Siedział sam. W autobusie sporo ludzi stało, ale niektóre miejsca siedzące były wolne. Patrzył na panoramę przesuwaną się za oknem. O tej porze roku widok nieszczerólny. Przyroda późnojesienna i skąpa na tym odcinku drogi. Miasto betonowych brył, a ponad nim opasłe, sine, deszczyste chmury. Jego błękitne, bystre oczy, osadzone w polu tysiąca zmarszczek, ochraniały zmęczone powieki. Na fotelu obitym czerwonym tworzywem leżała jego czapka. Popielaty szalik wciskał się pod granatową jesionkę, długą, udekorowaną dużymi czarnymi guzikami. Szerokie bary okrywał rozłożysty kołnierz. Ciemne spodnie, błyszczące kamasze dodawały elegancji.

Winograpy mieliśmy poza sobą. Siedzący patrzył nadal. Na jego sześćdziesięcioparoletniej twarzy, spokojnej i czerstwej dał się zauważyć ledwie wyczuwalny smutek. Siedział, lecz to siedzenie nie było pełne. Zwarty z brzegiem fotela, pewnie i silnie wspierał się prawą nogą o podłogę autobusu. Obok drugiej leżały cztery metalowe narzędzia związane nowiutkim, wąskim, rzemieniem paskiem. Ręka luźno spoczywająca na kolanie miała rozwartą dłoń. Koścista, miejscami nabrzmiała, o brunatnych bruzdach, rozwidlających się w różne kierunki, była obrazem zaozanego pola. Drobne cząsteczki ziemi wrosnięte głęboko w ciało wilgotniały od potu. Wjechaliśmy w ulicę Pułaskiego. Przystanek. Siedzący ocknął się z zadumy. Pochyliwszy się w moim kierunku zapytał: Jak daleko do dworca? Słuchając odpowiedzi weselał. Ogorzała, pogodna już teraz twarz oddawała część energii, którą zaabsorbowała podczas słonecznych, upalnych dni, pośród zielonych i złotem kipiących pól. Przeniknęło mnie ciepło. Z krótkotrwałej rozmowy, bo na następnym przystanku musiał wysiąść, dowiedziałem się, że żelastwo, które wiezie, to lemiesz i odkładacze. Przyjechał po nie, przebywając kilkadziesiąt kilometrów. Mówił. A spieszno mu było. Lemiesz obecnie są kruche. Sklep w jego wsi często zamknięty, a kiedy otwarty, to zwykle takich narzędzi po prostu nie ma. A nuż w Poznaniu?... Stąd ta daleka, konieczna podróż. Myśli zaprzętnęły mi socha i radło. Odrzuciłem je szybko, w końcu to rok dziewięćset osiemdziesiąty.

Na pożegnanie podał dłoń. W dotyku czułem ziarna ziemi: szorstkie lecz delikatne.

**Kopciuszek 2021**

powoli zapominam  
jak smakują pocałunki  
tylko płyta grzejnika  
daje ciepło  
moim przemarzniętym dłoniom

niepotrzebne sukienki  
smętnie zwieszają ramiona  
w ciemnej szafie  
ocierają łzy pustymi rękawami

tylko aroganckie maseczki  
we wszystkich kolorach tęczy  
uśmiechają się zalotnie  
zapraszają na karnawałowy bal

nad maseczkami smutne  
pełne cierpienia oczy

nie szukam królewicza  
w tym zamaskowanym milczącym tłumie  
nie marzy mi się korona  
choć ludzie przekazują ją sobie  
z rąk do rąk w upiornym  
niekończącym się tańcu

próbuję uciec  
z tego makabrycznego balu  
szarpnięte kolejno zamknięte szczelnie drzwi  
i nie znajduję wyjścia

zaraz wybije północ

zakładam swój zgubiony wcześniej  
szklany pantofelek  
podciągam wyżej maskę

znów tańczę

**Brygida Mielcarek**

**Świeca**

Z jednej ręki nadane  
Przychodzenie na świat

Jesteśmy zdumieni  
jaki jest nam bliski i znajomy

Wywodzimy się wszyscy  
z jednego pnia  
Jesteśmy jak wiszące  
krople w powietrzu

Możemy upaść w mgnieniu oka  
Chciałabym być świecą  
Jej życie i umieranie  
Jest - JEDNOCZESNE

**Józef Zdunek**

**nadzieja**

jeden kilometr drogi  
leśnym duktem  
białą aleją rozkwitłych zawilców  
w towarzystwie biedronek  
o siedmiu kropkach  
wygrzewających się w słońcu  
terapeutyczny spacer

w połowie drogi polana  
z trzech stron otoczona lasem  
pachnie świeżą zielenią ozimin  
białą jak śnieg brzozą  
i odwagą wiciokrzewu  
który wspina się po dębie  
ku niebu

jeden kilometr drogi  
mało a jednak dużo  
nie liczę kilometrów  
ważna jest tylko nadzieja  
którą odnalazłem

**Tamara Hebes**

**Sen marnotrawny**

Za szafą cień przyklejony  
do ściany. Do podłogi. Powietrza.  
To tutaj ironiczna historia  
zamyka się w punkcie jak  
wszechświat tuż przed wykluciem.

Twój głos niczym pajęczyna  
zawieszony pod sufitem.  
Czeka na dogodny moment,  
by tknąć jezioro pamięci.  
Zostawić zmarszczkę. Na stałe.

I tylko bluszcz ognia oplata sobą  
scenariusze, co nie zmieściły się  
w czasie. Oczy szukają znaków  
skazanych na zatarcie. Znajdują  
tylko dowód na twoje nieistnienie.

## Życie widziane w lusterku wstecznym

Przyjemność obcowania z poezją (i z całą literaturą) polega na tym, że nie jest ona obwarowana wymogami o charakterze matematycznym, nie ma konieczności, że dwa dodane do dwóch musi dać cztery i każdy inny wynik będzie uważany za błędny. Zasady rządzące matematyką są nieublagane, nie ma tam miejsca na żadne kompromisy, nawet te najmniejsze. Poezja to jakby logiczne przeciwieństwo królowej nauk. Tu jak najbardziej dopuszczalne są, a nawet niekiedy wymagane sformułowania wymykające się zdrowemu rozsądkowi; nikt nie będzie miał pretensji, kiedy poeta napisze o mgle, co ma strukturę granitowej skały, albo o romantycznych spacerach po słonecznych promieniach przy blasku księżyca. Może coś o tym powiedzieć Marek Czuku, który z wykształcenia jest fizykiem (nauka jak najbardziej posługująca się narzędziami wypracowanymi przez matematykę) i polonistą, co to doskonale orientuje się w zasadach rządzących literaturą piękną. Potrafi twardo stąpać po ziemi i wyjaśnić sporo zjawisk zachodzących w otaczającym świecie, a jednocześnie nad tą ziemią leciutko się unosić, lewitować w oparach metafor, przerzutni i innych pojęć, którymi posługuje się twórczość liryczna. U tego łódzkiego poety oba te światy wcale ze sobą nie kolidują, one się niejako uzupełniają.

Jego tomik poetycki „Igiły i szpilki” to subiektywna podróż w czasie minionym. Cała ta historia zaczyna się od chwili, kiedy autor i jednocześnie bohater tych wierszy był uczniem ogólniaka, czyli w drugiej połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Zbiór otwiera wiersz „Mała blondyneczka”, gdzie ujawnia się chorobliwa wręcz nieśmiałość autora w tamtym okresie życia wobec dziewczyny, która zwróciła jego uwagę. Nieśmiałość jest tą cechą charakteru, która jakże skutecznie potrafi zablokować odwagę, by podejść, zagaść i zrobić ten pierwszy krok ku znajomości. Brak pewności siebie i obawa przed ośmieszeniem się jest prawdziwym utrapieniem wielu ludzi, a szczególnie tych młodych, w wieku licealnym i studenckim także. W wierszu nieśmiały wówczas autor opowiada czytelnikowi, że dziewczyna *była taka piękna nigdy się do niej / nie odezwałem wstydzitem się / nawet powiedzieć cześć*. Doprowadziło to do tego, że w ostatecznym rozrachunku podmiot zwierzający się uznaje ową piękność za niedostępną i godzi się z tym że *była tylko fatamorganą*. Można uznać niemal za pewnik, że owa historia jest potwierdzeniem tego, co działo się w młodych ludziach, dzieje obecnie i dzieć się będzie w każdym następnym pokoleniu, bo tak skonstruowana jest psychika większości z nas. Normalna kolej rzeczy. Ten wiersz jest pewnym rodzajem paradygmatu, pocieszeniem dla wszystkich nieśmiałych i nieco zakompleksionych. Ten wiersz zwraca na siebie uwagę jeszcze jednym elementem, który łatwo daje się zauważyć. Chodzi mianowicie o język, którym jest napisany. Poezja jest czymś wzniosłym i niezwykłym w swojej istocie, a więc i język powinien być wzniosły, słowa wyszukane i jakby nie z tego świata. Tego oczekują niektórzy odbiorcy sztuki poetyckiej wychowani na dawniej-

szych klasykach i mający jeszcze w pamięci teksty analizowane w ramach lekcji języka polskiego. Tu jednak nic takiego nie znajdujemy. „Mała blondyneczka” to zwykły opis tej niezręcznej dla ówczesnego autora sytuacji, relacja, zapis jaki mógłby się znaleźć w dzienniku czy pamiętniku, lecz pocięty na krótkie wersy, by wyglądało to na wiersz. Czy gdyby tę samą treść zapisać bez dzielenia na wersy, zrobić z niego krótką formę prozatorską, tekst straciłby na wartości, zmieniłby siłę przekazu? Na to pytanie każdy musi sobie odpowiedzieć sam. Pewnikiem jest tylko to, że tekst w zapisie ciągłym i ten sam tekst rozczłonkowany na wersy czyta się zupełnie inaczej. Dla wysmakowanego i wyrobionego czytelnika poezji ważne będą długości poszczególnych wersów i miejsca zastosowania przerzutni. Inaczej rozkładają się akcenty, wiersz posiada swoją wewnętrzną rytmikę i tym samym tekst inaczej jest przyswajany. Dla jednych istotną rzeczą jest sposób zapisu, dla innych zaś wystarczy sama treść – forma jest sprawą drugorzędą, a nawet zbędną. Sprawa gustu i czytelniczej wrażliwości. Nie należy traktować tego jako zarzut, a jedynie jako stwierdzenie faktu, bo przecież literatura nie jest pisana dla znawców, którzy analizowaniem treści literackich zajmują się zawodowo, ale dla wszystkich tych, którzy w obcowaniu z nią doznają przyjemności i dzięki niej pielęgnują swoją wrażliwość na piękno słowa pisanego.

W następnych wierszach autor wspomina wszystkie te zdarzenia i osoby, które w jakiś szczególny sposób stały się ważne, znaczące na tyle, że należy uchronić je od zapomnienia. Marek Czuku pokazuje, iż wiersz jest równie dobrą formą zaklęcia czasu przeszłego w teraźniejszości jak dziennik, pamiętnik albo kronika. Wiersz jest nawet lepszym sposobem do hibernacji czasu, bo poezja niejako wymaga od piszącego bardziej wysublimowanego języka. Wszelkie porównania i metafory podnoszą walory estetyczne przekazywanej treści. W prozie też, oczywiście, jest dopuszczane stosowanie języka wzbogaconego o elementy, którymi zwykle posługuje się poezja, a wówczas mówimy, że mamy do czynienia z prozą poetycką, więc ta poezja to jednak coś więcej niż tylko zapis wrażeń, które domagają się pisemnego utrwalenia. Na potwierdzenie tego niech będzie metafora z wiersza „Blue & cold”: *Czy dostrzegasz mnie swoją płomienną / wyobraźnią, czy słyszysz, jak pulsuje // we mnie werbel krwi, jak dobijam się / o miejsce w szeregu twoich myśli?* Ten „werbel krwi” zamiast pulsu albo tętna jest bardzo wymowny, bo przecież werbel to instrument muzyczny, a więc do fizjologii dochodzi jeszcze muzyka. Akcja tego wiersza dzieje się zimą, ale ta śnieżna pora roku nie jest przeszkodą, by autor nurzał się w gorącu uczuć, choć może nie do końca odwzajemnionych. Motywy muzyczne co i rusz przewijają się w wierszach zebranych w omawianym tomiku, więc śmiało można stwierdzić, że muzyka to bardzo istotny element w życiu autora „Igieł i szpilek” i nie ma w tym nic nadzwyczajnego, bo każdy młody człowiek lubi muzykę, ma płyty (i jeszcze nie tak dawno kasety) swoich ulubionych zespołów, a na ścianach plakaty z ich podobiznami. To przechodzi każdy, a przynajmniej zdecydowana większość młodzieży. Marek Czuku wspomina Krzysztofa Klenczona, zespół Kombi, The Troggs i Metallicę, która na jesienny dzień jest najlepsza. Czytając ten tomik wyraźnie zauważa się dojrzewanie bohatera do wyzwania, jakie życie stawia dojrzewającemu młodzieńcowi. Nabiera pewności siebie, najpierw niewinne rozmowy, a potem

wyznaje już, że *gdy ciebie poznałem najpierw / spodobały mi się twoje nogi / a dopiero potem cała reszta / podczas pocałunków („Kawa i miód”)*. Ten, który na początku tak bardzo bał się powiedzieć „cześć” szkolnej koleżance, teraz zna już smak pocałunku. Jest znaczny postęp w relacjach damsko-męskich. W wierszu „To lubię” jest już prawdziwym samcem, romantycznym facetem, który w fizycznej miłości dostrzega jakąś pełnię - *twoje ciało jest owocem mango / a ja odkrywam jego tajną pestkę*. Zaspokajanie potrzeb zmysłowych trwa. Kobieta nie jest już dla niego taką tajemnicą, jaką była na początku, widać metamorfozę, jaką przechodzi bohater wierszy. W posłowie Piotr Michałowski zauważa, iż tomik nie jest intymnym pamiętnikiem, a raczej zapisami, które dążą do weryfikacji faktów i odsłonięcia tego, co dla autora najważniejsze. To prawda, ale dla mnie „Igły i szpilki” to swoisty dziennik emocjonalnego dojrzenia bohatera, to zapis tego, co było charakterystyczne dla końcówki dwudziestego wieku. Nie znajdziemy tego, co dla dzisiejszej młodzieży stanowi niemal podstawę bytu: Internet, telefon komórkowy i laptop. W wierszu „Najlepsza jest Metalica” pojawia się wspomnienie o łódzkich „łowcach skór”, która to afera była na ustach całego kraju, nawet film fabularny został o tym nakręcony. I to między innymi jest znakiem tamtego czasu.

Autor jakby jeszcze raz chciał zobaczyć czas miniony ze swoim udziałem, bo młodość jest najpiękniejszym momentem w życiu człowieka. W tym okresie bardzo dużo się wydarza, podejmuje się wiele decyzji (nie zawsze trafnych), które mają wpływ na dalszy kształt i przebieg życia. I kiedy tak się wspomina tamte czasy, to aż z wrażenia ciarki przechodzą po plecach, te ciarki, które Marek Czuku nazywa „igłami i szpilkami”. Można więc skonstatować, iż nie jest prawdą, że należy żyć dniem dzisiejszym i z ambitnymi perspektywami patrzeć w przód. Przeszłość jest równie ważna jak przyszłość, bo trzeba znać swoją historię, mieć świadomość, że czas przeszły nie zniknął całkowicie, ale pozwala na kształtowanie teraźniejszości i tego, co ma dopiero nadejść. Oglądanie się za siebie daje duże szanse na uniknięcie błędów, które już raz się przydarzyły i zachęca do powtórzenia tego, co może życie uczynić szczęśliwym. Teraźniejszość i przyszłość zawsze budowana jest na fundamencie czasu minionego. Zawsze.

---

Marek Czuku, *Igły i szpilki*, Wydawnictwo Forma, Szczecin-Bezrzecze 2016.



Dariusz Tomasz Lebioda

### **Śpiew ptaków na skraju Kordyliery Środkowej**

Rzeźki poranek w zachodniej Kolumbii –

ptaki śpiewają coraz głośniej  
czekając aż otworzy się  
wielka kopuła światła

pobrzękują srebrne  
dzwonki szklane  
pałeczki uderzają  
w kryształowe  
wazy

tak obwieszczają  
świata swoją  
obecność  
i gotowość  
do porannego  
lotu

zanim przemierzą  
wielką dolinę  
wzniosą się nad  
drzewa i krzewy  
i ogarną wzrokiem  
dany im na chwilę  
świat

tak samo jak inne  
ulotne byty  
wiewiórki  
legwany  
i ludzie

Jolanta Szwarc

### **Dla kogo wiersze**

Towar na rynku  
nie idzie.  
Słowa nieufnie  
ścielą się jedno za drugim.  
Śpią w wersach.  
Śnią o potędze.  
Poeta je budzi  
na wieczorach autorskich  
i rozdaje uczestnikom.  
Zamknięte w klatce książki  
dobrze znoszą transport  
na półki  
wiecznego odpoczynku.

## Krystyna Konecka

### Kruchość XII

Gra ostatni pianista „Imagine” Lennona.  
Kwiecień. Poranek. Stacji StPancras wierzeje.  
Wyobraź sobie wejście Stephena Ridleya  
wzdłuż ślepych szklanych witryn. I pustych  
peronów.

Muzyk – wyobraź sobie – dezynfekujący  
klawiaturę (niech będzie zadość sytuacji).  
Odślania twarz. I śpiewa. I gra dla tej stacji  
cover – wyobraź sobie ten samotny koncert...  
Pianista zamknie występ nadzieją – cytatem.  
Gdy wszystko pogrążone w śmiertelnej  
chorobie,  
w tym kosmicznym realu – imaginuj sobie -  
głosi Armstronga zachwyty nad cudownym  
światem.

A ja... zaufam teraz bliskiemu poecie.  
I myślę – za Słowackim – o kruchej planecie.

## Ewa Moskalik

### Samotność

Mieszka w domu  
z lustrem o jednej twarzy  
z jednym cieniem rzucanym  
przy wieczornej lampie

gdzie pierwsze i ostatnie skrzypce  
gra liczba pojedyncza  
z gramatycznymi wyjątkami  
od reguły

tutaj drzwi nie otworzą się w dwóch pokojach  
jednocześnie  
nikt jednocześnie nie zakasze  
nie zaskrzypi podłoga w dwóch miejscach  
naraz

tu milczy się pojedynczo  
w pojedynczej ciszy pije  
pojedynczą herbatę

na posadzce schną ślady mokrych stóp –  
lewa

zawsze z krzywym palcem  
po złamaniu

w oknie ta sama głowa  
raz po raz  
wygląda deszczu

czasami dzwoni telefon  
z podwójnym zaproszeniem  
na promocję

## Małgorzata Szczęsna

### Zza zasłony

W platinie południowego słońca  
kolor jest zaburzeniem.  
Kontur jego istotą.  
I z nas wyłazi czarne..  
Uwypukła się, roślinie  
wgryza w chodniki,  
mury...

Ale niebo ...

Niebo przymila się  
niebieskim atłasem  
gładzi rozpaloną skórę  
i na stałe wsiąka  
w moje zasłony  
bezwzględny błękitem...

## Marta Solomej

### Pociągi pod mentalnymi mostami

pomiędzy myślą a myślą gęsta przestrzeń  
pociągi od ciebie napędzane energią  
domyślną  
pociągi od ciebie przepełnione piaskiem  
pisanym

przez okna na peronie mojego pokoju  
codziennie je witam chlebem solą  
kiedyś wyjdiesz z wagonu  
nie patrząc na wewnętrzne zegary  
na zewnętrzne kryzysy – zostaniesz  
napisać nowe rozdziały  
kwantowej zmiany

pociągi do ciebie wagony mentalów  
pociągi do ciebie bagaż kształtów  
nieplanowe przyjazdy co w snach planowane  
natrętne jak myśli o seksie jak mycie  
przed i po – między nami sprzężenie  
zwrotne – pociągi bogatsze  
o wersy i splot i mnie i muzykę – fala  
za falą na klawiaturę

zderzą się czołowo  
nasze twarze i ciała  
niebieskie światło z zielonym

---

**Marta Solomej**, autorka przed debiutem książkowym. Malarka. Pochodzi ze Szczecina, obecnie mieszka w Lublinie. Wiersze publikowała m.in. w miesięczniku literackim "Odra", w "Wydawnictwie j", w magazynach: "Helikopter", "Obszary przepisane", "Malkontenty". Zajmuje się również przekładami z nowej poezji rosyjskiej (debiut translatorski w "Wydawnictwie j" – przekłady wierszy Very Polozkovej).



Zbigniew Gordziej

## Marx na gwałt potrzebny

Wygląda na to, że w Polsce mamy poetów jedynie bardzo dobrych lub dobrych; złych jakby nie było. Do takiego wniosku dochodzę, czytając recenzje literackie zamieszczane w różnych czasopiśmiech ukazujących się w naszym kraju. Bo oto krytycy mający rzetelnie dokonywać analizy i oceny wartości utworów, piszą o nich prawie wyłącznie w samych superlatywach. Nie chcą stosować się do rady Krzysztofa Mętraka, który w trosce o nich samych twierdził: „Krytyk (a mówię o krytykach prawdziwych, a nie recenzentach do specjalnych, okazjonalnych poruczeń) nie powinien rozbustwiać artystów, raczej już trzymać ich na dystans, bo podważa swoją rację bytu, gdy zaczyna im na piśmie wysyłać kwiaty”.

Admiracja autorów i ich tekstów stała się normą. „Uznani” literaci napinają muskuły i pieczołowicie wpinają dobre recenzje do swoich przepastnych archiwów; co bardziej żądni sławy machają nimi przed oczami koleżanek i kolegów po piórze, albo natychmiast spieszą do mediów wypraszać u znajomego dziennikarza zamieszczenie informacji o „dziele”, bo przecież zauważył je sam Przemysław Cz. czy Piotr Ś., nie mówiąc już o szczególnie opiniotwórczym Adamie M. Niechby tak było, gdyby napisali utwory dobre, znakomite. Zyskałaby na tym polska literatura, zyskałby czytelnik. Tymczasem w kwestii polskiej krytyki literackiej jest jak z ową sprawiedliwością według Karola Bunscha, który uważał, że bardzo łatwo znaleźć ją w słowniku pod literą S.

Bywa i tak, że poeta, chcąc za wszelką cenę zostać zauważonym, wyprasza recenzję u kolegi albo wręcz ją mu zleca, czyli tekst kupuje. W taki sposób powstają recenzje kadzidlane. Ich żywot jest na szczęście krótkotrwały, chociaż załatwiający sobie recenzję pokątnie obgryza paznokcie, w oczekiwaniu na dowody dłuższej lub wiecznej afirmacji.

Wobec takich nagannych praktyk trzeba postawić pytanie: „Co zrobić, by recenzje były sprawiedliwe, a nie miłosierne?”. Odpowiedź wyda-

## Aleksander Talarkiewicz

### I nic więcej...

Kochanie...  
nie martw się  
nie płacz  
to tylko takie  
małe – pik  
ucisk w klatce  
skręt z lewej strony  
nerwowe łapanie powietrza  
jak gdyby życia naszego  
nie mieliśmy jeszcze dosyć  
i nic więcej  
tylko cisza  
okrutna cisza...

je się oczywista i powinna brzmieć: „Recenzję trzeba napisać uczciwie, rzetelnie, zgodnie z prawdą”. Ale jak to przeprowadzić, kiedy w wielu krytykach zakorzeniła się pewność, że „żaden kodeks nie przewiduje kar za gwałcenie sumień” (Horacy Safrin). No cóż, do rozwiązania tych kwestii trzeba by zawezwać Jana Marxa (pseudo: Marcin Kogge, Michał Kuchmeister, Konrad Lang, Mikołaj Morski). Ten krytyk i eseista mający za sobą wiele doświadczeń zawodowych, jak chociażby mechanika silników lotniczych, nurka, wykładowcy nauk politycznych na Politechnice Warszawskiej oraz teorii i historii literatury w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Siedlcach, w latach 1979-1986 kierował działem krytycznym miesięcznika „Poezja” a od roku 1987 do 1990 działem zagranicznym tygodnika „Kultura”. Szczególnie zasłynął pisząc „Rzeczy najgorsze”, co przyniosło mu miano najbardziej zniechęconego krytyka w Polsce. Na krytycznoliteracki warsztat brał tomy poezji zarówno twórców uznanych, jak i debiutantów. Wielu z nich dostało srogą burę. Jan Marx potrafił literacko niszczyć, nieraz doprowadzając do naruszenia konstrukcji psychicznej nieszczęśnika, którym się zajął.

Czy takie uprawianie krytyki przez Jana Marxa było etyczne? W niemałym stopniu takim nie było. Jednak, na dzisiejsze czasy, dla dobra literatury warto by skłonoć Jana Marxa, a klony poddać potrzebnej i niezbędnej obróbce (manipulacji?) genetycznej. Wtedy byłaby szansa na pojawienie się większej liczby uczciwych, rzetelnych, sprawiedliwych recenzentów literackich. Skoro jednak taki genetyczny zabieg jest niemożliwy, to może krytycy powinni pisać tylko o dobrych książkach, wskazując czytelnikom, co jest warte przeczytania. Złymi książkami niechajby trudzili się tylko wtedy, kiedy stać ich będzie na merytoryczną i bezwzględnie uczciwą ocenę wartości utworu.

Pisząc ten tekst mam świadomość, że może mi się oberwać, że jakiś krytyk „zajmie się” specjalnie moją twórczością. Powyższych wywodów dokonałem, chociaż pamiętam aforyzm, który sformułował Bernard Shaw: „Niebezpiecznie jest być szczerym, chyba że jednocześnie jest się głupim”. Zobaczymy, czym to się skończy.

---

*Tekst opublikowany 28,02,2021 na stronie Poznańskiego Oddziału ZLP <http://www.zlp.poznan.pl/>.*

## Stanisław Chutkowski

### Uwolnienie

Myśli niejednego człowieka  
uwięzionego w zimnym betonie  
płoszy trzepot gołębic skrzydeł.  
W bezkresnym błękitcie nieba  
samoloty zniżając lot  
roztrzępują je warkotem  
w niewidzialny pył a ten  
bezszelestnie osiada  
na koronach drzew.  
Resztki własnych myśli  
bezwiednie wdeptujemy  
w opadłe liście.

## Na ekonomii politycznej socjalizmu

Traumatycznym przeżyciem dla mojego pokolenia był Marzec 68. Byłam wtedy na drugim roku. Na uczelni nie rozmawialiśmy o polityce. Nikt otwarcie nie krytykował Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i jej pierwszego sekretarza Władysława Gomułki, ale też nikt nie rwał się do socjalistycznych organizacji młodzieżowych i nie myślał o zapisywaniu do Partii (a nawet jeżeli myślał, wolał się do tego nie przyznawać). W marcu 1968 roku Polskę obiegła wieść, że w Warszawie, w Teatrze Narodowym cenzura, po paru spektaklach, zakazała wystawiania III części „Dziadów”. Mówiono o protestach studentów. Pewnego dnia, w drodze na zajęcia zauważyłam na Placu Mickiewicza przed Uniwersytetem liczną grupę studentów z transparentami, na których żądano zniesienia cenzury i przywrócenia „Dziadów”. Przemawiali młodzi ludzie. Milicja nie reagowała. Razem z koleżanką przyłączyłyśmy się do zgromadzenia i co dzień chodziliśmy na Plac Mickiewicza, słuchać coraz ostrzejszych wystąpień. Dziwiłam się, że jest nas aż tylu i usiłowałam zrozumieć rozmiary protestu. Każdy z demonstrujących studentów (jeżeli był poznaniakiem) doskonale pamiętał Czerwiec 56. Byliśmy wtedy dziećmi, ale czołgów, strażów na ulicach i strachu się nie zapomina. Drugim, już nie tragicznym ale groteskowym wydarzeniem zniechęcającym nas do towarzysza Wiesława i Partii, były obchody Tysiąclecia Chrztu Polski, które z jego polecenia, zorganizowano w Poznaniu, równoległe do uroczystości kościelnych i w tym samym terminie. Wszystkie zakłady pracy i całą młodzież spędzono na Plac Mickiewicza na uroczystości Tysiąclecia Państwa Polskiego (o rocznicy chrztu Polski oczywiście nie było mowy). Stałam z moim II Liceum koło Akademii Muzycznej i widziałam ludzi porzucających szturmówki i biegnących na Ostrów Tumski, do katedry, gdzie odbywały się główne uroczystości, a kazanie wygłaszał prymas Stefan Wyszyński. Kontrast między wielowiekową tradycją Kościoła a prymitywnymi rytuałami socjalistycznej władzy był uderzający. Utajona niechęć młodych ludzi do sytuacji w Polsce eksplodowała w Marcu. Rodzice odwozili nas od demonstrowania, tłumacząc, że młodzież jest wykorzystywana do wewnętrzpartyjnych rozgrywek. Ostrzegali asystenci i profesorowie na uczelni, ale kto by ich słuchał. Upojeni wolnością, wreszcie mogliśmy wykrzyczeć swoją niechęć i mieć nadzieję na zmiany. Nie pamiętam którego dnia uderzyła milicja i ZOMO. Otoczyły nas milicyjne budy i zomowcy w hełmach, uzbrojeni w długie pałki. Przerażający widok. Ruszyli w tłum, bijąc zaciekle i wciągając do samochodów. Nie zapomnę widoku dziewczyny wlezionej za długie włosy po ziemi przez dwóch osiłków. Krzyczała strasznie. Udało nam się z koleżanką uciec do naszej uczelni i zabarykadować w ubikacji. Z korytarza słychać było odgłosy pogoni – zomowcy wpadli do budynku, co było pogwałceniem prawa. Krążyły potem opowieści o pobiciu pracowników naukowych i profesorów. Partia zareagowała

natychmiast. Zwolniono przymusowe masówki i zebrania potępiające studentów.

Na WSE, podobnie jak na innych uczelniach, na polecenie Partii, zorganizowano w auli wiec i potępiono studenckie, tłumacząc je (zgodnie z partyjną linią) knowaniami syjonistów i rewizjonistów. Dużą odwagą wykazał się profesor Zbigniew Zakrzewski – oficjalnie, na wiecu tłumaczył zachowanie studentów i wystąpił w ich obronie. Nigdy tego nie zapomnieliśmy. Jakże przyjemnie jest zobaczyć sylwetkę profesora, uwiecznioną na pomniku przy wejściu do Uniwersytetu Ekonomicznego. Jeszcze milej, na Zielonych Ogródkach, spojrzeć na profesora z brązu, sprawdzającego czy nie pada deszcz. Wybiera się zapewne na długą pieszą wycieczkę po ukochanym Poznaniu.

Po Marcu z mojego najbliższego otoczenia nikogo nie aresztowano i nie relegowano ze studiów. Z innego wydziału wyrzucono (i chyba skazano) Marka Chelminiaka. Nie znałam Marka bliżej ale doskonale go pamiętam. Nieraz się zastanawiałam jakie były jego dalsze losy.

Inną reperkusją protestów i formą nagonki na studentów były przymusowe, miesięczne praktyki robotnicze – obozy pracy, jak je nazywaliśmy. Dziewczyny z kilku studenckich grup wywieziono do pegeerowskiej wsi Błocko. Każdego dnia na przyczepie traktora transportowano nas do lasu. Otrzymałyśmy polecenie (były wyznaczone normy), by przy użyciu sierpa ścinać chwasty w szkółce leśnej. Już pierwszego dnia wyskoczyły nam bąble na rękach, doskwierał upał, atakowały roje komarów. Koleżanki pochodzące ze wsi nie męczyły się tak bardzo, ale my z miasta po powrocie rzuciłyśmy się obolałe na materace w wiejskiej świetlicy, gdzie nas zakwaterowano. Dokuczał nam wszystkim więzienny wikt (na śniadanie pajdy chleba ze zwykłą margaryną, salcesonem lub marmoladą), mycie pod pompą. Z koleżanką pożyczłyśmy od miejscowych kobiet wysłużone rowery i pojechałyśmy do Wolsztyna do łaźni. Po siedmiu kilometrach powrotnej drogi wróciłyśmy tak samo spocone i brudne jak przed wyjazdem, ale przyjemność kąpieli warta była tego wysiłku. Po dwóch tygodniach od dalszej mordęgi na obozie pracy wybawiło mnie zapalenie oskrzeli.

Największym powodzeniem cieszyły się rajdy. Obchodziło się Wielkopolskę wzdłuż i wszerz na rajdach kameralnych i masowych. Największym był Ogólnopolski Rajd Zachodni, gromadzący ma mecie nieraz aż 1000 studentów. Lubiałam rajdy mniejsze. Wieczór spędzało przy ognisku, zawsze znalazł się ktoś z gitarą. To były niezapomniane chwile. Pamiętam nocny rajd na orientację. Z koleżankami zgubiłyśmy się w lesie pod Zaniemysłem i mimo latarek i map nie mogłyśmy dotrzeć do celu. Z opresji wybawiła nas dopiero grupa kolegów. Na innym rajdzie zainteresowanie uczestniczek wzbudził przystojny brunet (student ostatniego roku, asystent?). Niósł ogromny plecak i nie reagował na wdzięki studentek. Wieczorem, po dotarciu na metę nad jeziorem rozbił namiot i ku rozczarowaniu dziewczyn nie pojawił na ognisku. Rano wyłonił się z namiotu w zakonnym stroju i odprawił polową mszę świętą. Był to dominikanin ojciec Konrad Hejmo.

---

*Fragment artykułu „Gimnastyka umysłu na ekonomii politycznej socjalizmu. Moje studia na Wyższej Szkole Ekonomicznej w Poznaniu w latach 1966 – 1970.” „Kronika Miasta Poznania” 2020/2.*

Andrzej Sikorski

na gliniance po wrześnieowej kąpeli

pamięci Andrzeja Ogrodowczyka [1952-2002]

tak nagle zagłębił się  
a teraz Małgosia Kasztelan-Róžańska  
o oddech lżejsza już  
od tamtej wody  
która odchodzi promieniście  
i powraca

Jerzy Grupiński

Ars poetica

Sprzedawać  
własne wnętrzności  
Nigdy nie myślałem  
że będę  
przy takiej brudnej robocie

**PROTOKÓŁ**  
kulturalny  
Nr 77/2021

Seite 30 K

EXPRESS

Donnerstag, 19. März 1987

## Nachbarstreit in Nippes - Künstler kam mit Hahn zum Prozeß

# Richter: Ramses darf weiterkrähen

### Antrag auf sofortige

### Räumung abgewiesen

Von DETLEV SCHMIDT

Exp Köln - Richter Bernd Walterscheid war leicht irritiert: Da krähte doch ein Prozeßbeteiligter im Gerichtssaal munter drauflos. Der Richter bat energisch um Ruhe, ließ den Störenfried dann aber doch im Saal. Es war Hahn Ramses. Er und sein Truthahn-Kollege Charles ärgern die Nachbarn. Und den Vermieter, die Colonia-Versicherung. Sie wollten Ramses und Charles per einstweiliger Anordnung zum Schweigen bringen. Der Richter lehnte den Antrag ab: Er sehe keine Eilbedürftigkeit. Ramses darf einstweilen weiter krähen.

Der Künstler (in bodenlangem Prater-Ornat) pochte dagegen auf Einhaltung der Prozeßregeln auch für Charles und Ramses. Der erlittete sich daraufhin auch aufstark und sichtbar auf dem Gerichtstisch. Flatterte später auf den Richtertisch.

Nach Ablehnung der einstweiligen Anordnung ging der Künstler sichtlich zufrieden wieder in seine Galerie nach Nippes. Doch der Richter hatte für ihn noch einen Wermistropfen im Hauptverfahren, das allerdings wohl Monate dauern wird, seien seine Chancen längst nicht so gut...

Hahn Ramses hielt Richter und Anwälte in Atem. Vor dem Saal 127 sorgte er für Heiterkeit. Die zahlreichen Prozeßbeobachter freuten sich mit.  
Foto: Reiner Wirtz

Es begann mit lautstarken Auseinandersetzungen auf dem Gerichtstisch. Der Richter Walterscheid hatte sich verspätet und zog noch einige andere Prozesse vor. Unterdessen bejoheten sich die Kontrahenten. „Psychotronic“-Künstler Peter Bernacki und seine Nachbarn, vor dem Saal. Dann der Hahn, ein lebendiges Ausstellungsstück, pflegt nicht nur tagsüber, sondern auch zur Nachtzeit zu krähen (EXPRESS berichtet). Empört meinte eine Nachbarin: „Da Flattermann muß fort!“ Und weiter: „Dat stink wie die Pest!“



Psycho-Tronic-Künstler Franz Peter Bernacki und seine Frau Katharina stellen für ihren Hahn Ramses.

BERNACKI  
KUNST PSYCHOTRONIC GALLERY  
NIEHLERSTRASSE 218  
5000 KÖLN 60  
TEL. 0221/7604666

BERNACKI  
KUNST PSYCHOTRONIC GALLERY  
NIEHLERSTRASSE 218  
5000 KÖLN 60  
TEL. 0221/7604666

W 50-lecie naszego Klubu Literackiego wyjmujemy z archiwum publikację o Franciszku P. Bernackim, debiutującym w Klubie na początku lat siedemdziesiątych.

Tytuł „Ramses może piąć” komentuje wyrok sądziego w Kolonii, który na korzyść naszego kolegi rozstrzygnął spór między artystą a współmieszkańcami. Na zdjęciu Franciszek P. Bernacki w rytualnej todze Kapłana Sztuki i jego asystentka – żona Katarzyna prezentująca w sądzie dwa koguty – Ramzesa i Karola, dwa żywe eksponaty z prowadzonej ongi w Kolonii „Psychotronicznej Galerii Sztuki”.

*W związku z Nagrodą Marszałka Województwa Wielkopolskiego za animację w dziedzinie literatury, pragnę podziękować za współpracę wszystkim współtworzącym nasze środowisko na przestrzeni minionych pięćdziesięciu lat – w Zamku (1970 – 2005) oraz w Piątkowskim Centrum Kultury PSM „Dąbrówka” od 2005 po dzień dzisiejszy. Obyśmy...*

*Jerzy Grupiński*

Ewa Moskalik

**Haiku**

listek jesienny  
na pajęczynie –  
poprawiam włosy

pada i pada –  
na okiennej szybie  
ślady paluszków

baśniowa noc –  
sypie śniegiem  
latarnia

cichutkie dzwonięcie –  
to kulig w oddali  
czy cisza wokół?



Szymon Ratajczak - Limeryki

**Buraczki**

Buraczki z piaskiem na wąsach będą gryzły  
ziemię  
skalpuję je nożykiem przez ich bure ciemię

soczek wypiję pożywny  
morderca seryjny

to tylko złudzenie

**Dokładna**

Była pani na targu nie była jaka  
macała nie tylko każdego ziemniaka

baby czar rzuciły  
trafił jej się zgniły

przy obieraniu chłopaka

**Sado-maso**

Pewien rolnik który stracił dziewczynę  
wziął w obroty oberżynę

on miał bat i podkowy  
ona lateks fioletowy

pewnie masz zdziwioną minę

Jan Wojciech Malik artysta malarz, poeta. Urodzony w Poznaniu w 1951. Malarstwo studiował na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu w latach 1969-75 w pracowniach prof. prof. T. Brzozowskiego i St. Teisseyre'a. Od 1977 członek Związku Polskich Artystów Plastyków. Studiował na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu Reklamę i Promocję na Wydz. Nauk Społecznych i Dziennikarstwa. Był starszym wykładowcą na UAM. Wydał kilkanaście tomików poezji. Otrzymał nagrody za wiersze.

Realizuje w 2020/21. cykl obrazów pt. "I love dance". 29 kwietnia 2021 zaprezentował w Międzynarodowym Dniu Tańca w Centrum Kultury Gminy Suchy Las wystawę malarstwa wraz z tomikiem wierszy.

Prace zamieszczone w numerze pochodzą z wystawy artysty „Kocham taniec – obrazy i słowa” udostępnionej w Ośrodku Kultury w Suchym Lesie.